

Cena pojedynczego numeru
kop. 20.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

$\frac{3}{15}$ marca 1862

O - Kain. Kōm. - o Zei
O 2K



№ 129.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8. półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 15 marca 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Od redakcyi. — Stanisław Kieżygłó (z drzeworytów). — Kronika tygodniowa. — Kilka kartek z wycieczki po kraju (dokończenie). — Dawne ubiory i uzbrojenia (tł. z drzeworytów). — ciał dalecy. — Boruta (z dwoma drzeworytami). — Kilka słów o naszych strachach. — Rebus. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Sroda popielcowa w Sandmierskiem. — Wiadziado zszescia, powiesc spolzczesna, przez Felicyana, (dokończenie). — Korespondencya od redakcyi.

OD REDAKCYI.

Tygodnik Ilustrowany od 1 kwietnia r. b. wychodzić będzie nadal w tym samym jak dotąd formacie i zakresie.

Skończywszy w numerze dzisiejszym powieść Felicyana p. n. „Widziadło szczęścia”, rozpoczniemy w następnych szereg *Obrazów krakowskich* Wł. L. Anczyca. Dalej drukować będziemy z rzeczy belletrystycznych: powiastkę Adama Pługa p. n. *Dwaj linicy*; powieść Wł. Maleszewskiego p. n. *Dziecię Żmujdzi*; powieść J. I. Kraszewskiego p. n. *Murowanka* i obszerny opis podróży K. Łapczyńskiego p. n. *Łato pod Pieninami i w Tatrach*, — dodając zawsze, w miarę potrzeby, stosowne drzeworyty.

Od 1 marca r. b. kierunek części artystycznych Tygodnika Ilustrowanego objął p. Juliusz Kossak, znany ogółowi jako malarz i rysownik utalentowany, a w szczególności czytelnikom Tygodnika z prac pełnych życia i prawdy w piśmie naszym zamieszczanych. Zasłużony poprzednik jego, p. Jan Lewicki, zrzekając się dotychczasowego obowiązku kierownika, uznał że nie może w lepsze złożyć go ręce; nie usunął się jednak i nadal od współpracownictwa artystycznego w Tygodniku.

Cena Tygodnika pozostaje taż sama, to
jest w Warszawie:

rocznie	rsr.	8	k.	—
półrocznie	"	4	"	—
kwartalnie	"	2	"	—
miesięcznie	"	—	"	67½

Na prowincyi i w cesarstwie:

rocznie	rsr. 12
półrocznie	" 6
kwartalnie	" 3

z nadmienieniem, że prenumeratorem z cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płać *kopertowe od każdego egzemplarza* rsr. 2 rocznie. Jeśli Tygodnik ma być wysyłany w kopercie innego pisma, to redakcja uprasza o wyraźne wymienienie tego pisma przy nadysłaniu pieniędzy.

Szanowni prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześniej na właściwych stacyach pocztowych.

wych, od tego bowiem zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów kwartału.

W razie nieregularnego odbierania numerów Tygodnika, lub otrzymywania ich w stanie uszkodzonym, porozczinane, zmięte, zbrudzone lub podpisywane atramentem, raczy szanowni prenumeratorowie odwoływać się do redakcji lub do zarządu pocztowego w Warszawie, a zażalenia ich załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.

Komplety Tygodnika, obejmujące 9 kwartałów w czterech tomach, mogą być nabywane w redakcyi po cenie: tom I (jako złożony z trzech kwartałów) rs. 6, tomy następne po rs. 4.

Stanisław Kieżgayło,

PODCZASY LITEWSKI.

Mało jest rodów szlacheckich na Litwie i w Polsce, którychby nazwisko tak rozmaicie było przekształcane w pismach, jak rodu Kieżgayłów, który chociaż i znamienite posady zajmował w kraju, i znaczne dobra dziedziczył, i na koniec zostawił wiele pamątek istnienia swego w funduszach kościołów na Żmudzi i w Litwie, jednak to wszystko nie miało wpływu na ustalenie jego nazwiska. I tak: od pierwszego dokumentu znanego nam o tym rodzie, to jest od aktu wiecznego przymierza Litwy z Polską 1401 r., aż do 1500 r., to jest do czasu w którym się ukazują własnoręczne Kieżgayłów podpisy, miano ich rodowe znajdujemy pisane według następujących przemian: Keszgayło, Kieżgayło, Kezgayło, nawet Gezgayło, Giżgayło i Gedgayło, na koniec Kieygzgayło i Kienzgayło. Od r. 1500 znane są już dokumenta z ich własnoręcznymi podpisami, a w nich oni sami się mianują po łacinie Kiesgal, po polsku Kieżgayło. Gdy więc i sami się podpisywali i większa część pism mianuje ich Kieżgayłami, zatem najwłaściwiej jest trzymać się tego ostatniego miana. Przyczyną bowiem tej rozmaitości nazwiska Kieżgayłów było bezwątpienia nie co innego, jak trudne wyczytanie przywilejów i dokumentów, pisanych w XV wieku na Litwie i Żmudzi po większej części po słowiańsku, które, chociaż dopełniane znakami abrewiacyjnymi, zawsze jednak z trudnością dawały się czytać i nieraz stawały się powodem do grubych omyłek.

Kiežgayło, było to imię litewskie w poga-
nizmie, które wraz z przyjęciem chrześcijań-



STANISŁAW KIEŻGAYŁO. (Rysował Polkowski, podług portretu rodzinnego).

skiego imienia, stało się nadal nazwiskiem rodowym, podobnie jak wszystkie imiona pogańskie, po zaprowadzeniu chrześcijaństwa w Litwie i na Żmudzi. Ile więc było osób noszących imię Kieżgayło w poganizmie, tyle powstało oddzielnych rodów noszących to nazwisko po przyjęciu chrześcijaństwa. Protoplasta Kieżgayłów żmudzkie przyjął na chrzczenie imię Jana. Z traktatu Witolda z Krzyżakami r. 1398, oraz aktu przymierza Litwy z Polską r. 1404, daje się widzieć, że ten Jan Kieżgayło był synem Walmonta, a wnukiem Bluska. Witold i Jagiello, po zaprowadzeniu chrześcijaństwa na Żmudzi r. 1443, zrobili pierwszym starostą żmudzkiego syna jego Michała, i odtąd urząd starosty żmudzkiego był w rodzie Kieżgayłów jakby sukcesyjnym w ciągu kilku pokoleń, a skutkiem tego nazwisko ich stało się bardzo popularnym na Żmudzi. Niema bowiem domu szlacheckiego w tej krainie, w którymby choć jedno nadanie Kieżgayłów nie przechowało się aż dotąd, bądź na ziemi, bądź na lasy wydzielane przez nich, jako starostów żmudzkie, zasłużonym w boju.

Kieżgayłowie żmudźcy pieczętowali się Łabędziem i zapewne przyjęli go albo na sejmie horodelskim, albo wnet po nim, bo do tego czasu mieli oni herb swój własny. Był to rycerz w biegu, trzymający oburącz długą włócznię, pod nim zaś na tarczy znak jakiś symboliczny. Jako ludzie bardzo zamożni, posiadali wielkie dobra na Żmudzi i w Litwie, lecz niedługo kwitnęli, bo przedostatni ich potomek Stanisław, którego drzeworyt z obrazów rodzinnych tu załączamy, zgasł prawie jednocześnie ze swym synem Janem, pod koniec 1555, lub na początku następnego roku. Ten Stanisław Kieżgayło, podczaszy litewski, starosta mohilewski i tykociński, był synem (według papierów Radziwiłłowskich) Mikołaja marszałka litewskiego i Anny Radziwiłłówny, córki Jana Radziwiłła kasztelana trockiego, hetmana litewskiego, zwanego Brodatym. Ani data urodzenia, ani też miejsce gdzie się urodził nie są nam wiadome, tylko z działu między ojcem jego Mikołajem, a bratem stryjczo-rodzonym tego ostatniego, Stanisławem, 1500 r. uczynionego widać, że wtedy Mikołaj był jeszcze bezdzietny, zatem podczaszy musiał się rodzić w pierwszych latach XVI wieku. Żonaty z Zofią Chodkiewiczówną, córką Aleksandra wojewody nowogrodzkiego, miał jedynego syna, ostatniego z rodu Kieżgayłów, Jana, po którym Zawiszowie i Szemiłowscy, jako najbliżsi spadkobiercy, odziedziczyli wszystkie dobra jego, i herb Kieżgayłowski Łabędź do swych herbów rodowych, pierwsi do Róży, drudzy do Łwa dołączyli; Zawiszowie zaś tej gałęzi zaczęli nawet pisać się Zawiszami-Kieżgayłami. Dowodem wygaśnięcia rodu Kieżgayłów na Janie, jest dział między Zawiszami 24 marca 1556 r. nastąpiony i tegoż roku 20 kwietnia do metryk litewskich wniesiony, w którym wyraźnie powiadają, że się dzielą majątkami przypadłymi na nich po Stanisławie Kieżgayle, podczaszym litewskim i po synie jego Janie, ostatnim z rodu Kieżgayłów.

O tym Stanisławie Kieżgayle mało mamy szczegółów i wiemy to tylko, że był najprzód stolnikiem litewskim i starostą raduńskim, tak się bowiem podpisywał na dokumentach rodzinnych; później został podczaszym litewskim, starostą mohilewskim i tykocińskim, a jako spokrewniony z Radziwiłłami, pomagał im w doprowadzeniu do skutku małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą, i z tego powodu Zygmunt August, jak widać z listów tego króla pisanych do Radziwiłłów Mikołaja Czarnego i Mikołaja wojewody trockiego, zaszczycał Stanisława Kieżgayłę zaufaniem oraz szczególną swą łaską. Posiadając na Żmudzi, między innymi dobrami, miasto Kroże, z należnymi do tej majątności folwarkami Linkówek, Jawniszek i Werpian, pisał się Stanisław hrabią na Krozach.

J. B.

Kronika tygodniowa.

Przewrót w naturze!...

Od dwóch lat marzec kłamie swemu zwyczajowi, obfitując w dnie słoneczne, jak dawniej w deszcze i sloty. Ale nie wierzyć ponętom jego, Warszawa nie, jest to tylko pułapka na zdrowie wasze; dużo tam jeszcze śniegu, deszczu, zimna jest w powietrzu, a tym gorzej dla nas, im później ten zapas spadnie nam na karki. Wprawdzie Krasicki wymienia tylko trzy rzeczy zmienne:

Łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne; ale u nas od pewnego czasu więcej wiosny aniżeli jesieni lękać się należy, więc nie wierzyć marcowi.

A jednakowoż....

— Nie *wyiminujecie* sobie, moi państwo, jak powiadała ostatnia pani starościna, którą znalazłem, co to za *jeniusz* był ten Krasicki. Do czego bądź jego zdanie przyczepić, to już jak uciął. Nic po nim powiedzieć nie można.

I ja jestem najzupełniej tego przekonania, więc do innego zwracam się przedmiotu.

Dawno już miałem mówić o tych dziwnego rodzaju pieniądzech, które po wszystkich niemal miastach prowincjonalnych u nas kursują. Są to kwitki wydawane przez kupców, kramarzy, dzierżawców konsumcyjnych, koszerne i t. p., które w braku drobnej monety znajdują kurs wszędzie. Mniejsza o to że kwitki te, które wydającym nawet trudno jest wycofać z obiegu, bywają tak zbrudzone i podarte, że ani numeru, ani podpisu, ani ceny niepodobna prawie na nich wyczytać; mniejsza i o to nawet, że przez samo zużywanie i zawieruszanie tych kwitków publiczność z konieczności traci, a przemysłowcy zyskują; ale to najgorsza, że większa część handlarzy podpisujących te weksle i puszczających tym sposobem w obieg znaczny stosunkowo do swojego obrotu handlowego kapitał, żadnej nie przedstawia odpowiedzialności. Kwitki idą, bo idą, i nikt prawie nie patrzy na podpis; przyjmuje, bo inni tak czynią. Sam widziałem, jak w pewnym mieście prowincjonalnym, jakiś żartobliwy jegomość, po skończonej partyi preferansa, przy wypłacie parę etykietek od zapalek chemicznych, należycie zbrudzonych, podał w miejsce drobnych, wraz z innymi kwitkami. Odbierający, spojrzawszy tylko po wierzchu, dla zwyczajności, schował to wszystko do kieszeni, i dopiero ostrzeżony śmiechem obecnych i samegoż płacącego, wyjął pieniądze i poznał się na mistyfikacji. Ale czyliż w miejsce niewinnego żartu nie może zająć i oszustwo? Czyliż już nie wydarzały się takie wypadki? Na dowód prawdopodobieństwa tego twierdzenia może posłużyć przytoczenie faktu o jakim nam świeżo donoszą.

Otóż w jednym z mniejszych miast gubernii augustowskiej dostrzeżono podobno kurs karteczek, których po jakimś czasie nikt nie chciał uznać za swoje; karteczki przeto wraz ze skargą odniesiono do sądu.

W skutek tego sąd zjechał na miejsce. Po długich rozpytywaniach się i wywiadywaniach, czy kto z mieszkańców nie ma wiadomości czyj to był podpis na kartkach, ktoś oświadczył, iż zdaje mu się że ten podpis poznaje, tylko to jakoś nieprawdopodobne, albowiem ten który podług jego domysłu jest autorem i karteczki i podpisu, trudni się żebractwem. Chociaż sąd znalazł tę wątpliwość bardzo słuszną, jednak nie mając żadnego innego wątku, zniewolony był i tak słabiej chwycić się poszlaki.

Zawezwano więc owego żebraka, który okazane kartki i podpis na nich uznał za swoje, gdy zaś sędzia zażądał aby te kartki wykupił, oświadczył iż nie myśli tego uczynić, głównie dlatego, że nie posiada żadnego na to wykupno funduszu. Zapytany następnie jakim prawem považał się wypuszczać kartki jako pieniądze gotowy, nie posiadając na spłatę ich odpowiedniej brzęczącej monety, odrzekł:

— Jestem żebrakiem, i to jedyny mój sposób do życia. Od niejakiego czasu szczupły i tak mój dochód, zaczął znacznie się zmniejszać, bo nawet w domach gdzie nigdy nie odmawiano mi wsparcia, wiedząc że jestem istotnie ubogim i uczciwym, udzielano mi odpowiedź: „Niech Bóg opatrzy, nie mamy drobnych.“ Wiedząc zatem że tyle rozmaitych kartek kursuje i ułatwia nabywanie przedmiotów codziennie do życia nieodzownie potrzebnych, postanowiłem, ażeby nie umrzeć z głodu, postarać się o drobne, którebym mógł wydawać jako resztę litościwym osobom, coby chciały mnie wesprzeć datkiem. Narobiłem więc karteczek i widziałem że są przyjmowane. Dogadując tedy tym sposobem i swój potrzebie i wygodzie publicznej, zdawałem resztę z karteczek również karteczkami moimi. Czy zaś moje, czy tamte są więcej ubezpieczonemi, to mi, przyszan się, nigdy na myśl nie przyszło; dość że mogłem tym sposobem dostać to czego chciałem: chleba, wódki i soli. Cóż panowie chcecie, każdemu człowiekowi życie mile, chociaż i w żebractwie.

Jeżeli są godnymi pochwały ogólne usiłowania, które w tych czasach tak silny daly popęd szerzeniu się oświaty ludowej i poprawie moralności klas niższych, tém bardziej zasługują na potępienie wszelkie wyjątki, stawające przeciw dążeniu ogólnemu. Ale największą grzeszą ci, którzy pod zasłoną dobra ogólnego starają się upieć pieczeń własnego egoizmu, własnej korzyści, choćby ze szkodą tych właśnie, nad których korzyścią i wydobyciem z ciemnoty pracować świętym jest dla nas obowiązkiem. Każdy taki przykład wart

wymienienia głośnego, jeżeli już nie dla poprawy tego co tak postępuje, to jako nauka dla innych. Aleksander Dumas młodszy mówił o marnotrawstwie ojca, które zmuszało go uciekać z Francji:

— Jeżeli mój ojciec nie może być dla mnie wzorem, niech będzie przynajmniej przykładem.

Prawda i to, iż tak potrafił korzystać z tego przykładu, że aż zasłynął ze skąpstwa.

Ale kiedy złe jest pouczającym, trzeba i złe wytykać.

Pewien obywatel w jednej z sąsiednich nam gubernij, dorobiwszy się różnymi sposobami majątku, postanowił zarabiać sobie na *reputacyę*. Pocziwe serca naszych obywateli wiejskich łatwo zjednać; ale bogaczów, przyzwyczajony ze wszystkiego wyciągać korzyść, wpadł na myśl upożytecznienia dla własnej kieszeni obecnych usiłowań.

Wziął się więc do dzieła w sposób następujący:

Najprzód wyrestaurował znajdującą się w nowonabytym majątku starą kaplicę i urządził w niej regularnie niedzielne nabożeństwa, wraz z kazaniem i moralnymi naukami; przytém założył szkołę i na oko wziął się niby bardzo gorliwie do szerzenia oświaty ludowej.

W miarę jednak wzrostu moralności między włościanami, upadła jedna z najgłośniejszych gałęzi przemysłu, propinacya. Nie wchodziło to w rachunki naszego obywatela, bo nie myślał poświęcać dobrych dochodów na jakieś tam *utopie*. Dalejże więc, przy pomocy chwały Bożej, frymarczyć wódeczką. W tym celu, zwykle w sobotę, przez swych oficyalistów wyższych i niższych, sprasza on z należących do niego sąsiednich majątków ludwinę na nabożeństwo. Przybyłym, dla zachęty, sam pan rozdaje medaliki święte, po skończeniu zaś nabożeństwa ofieyalisci, dobrze wyćwiczeni w swej czynności, idą pomieścić wieśniaków, zapraszając ich znowu na jutrzejszą robotę i dając przytém zapłatę z góry, z obietnicą kilkorazowego wódeczanego ugoszczenia,—i tak odmawiają sąsiadom robotników, właśnie gdy ich największa potrzeba. Uszczęśliwieni włościanie, wychwalając dobrego pana, wracają do domu, gdy wtém, niby przypadkiem, z karczmy około której muszą w swym powrocie przechodzić, dolatują ich dźwięki kapeli, conajskoczniejsze wycinającej tańce. Więc siaki taki, naradziwszy się z sąsiadem, rusza do karczmy, bo jakże tam nie zajrzeć, kiedy tak rażno muzyka wygrywa, a pieniądze są w kalecie. Wprawdzie to zapłata za nieodrobioną jeszcze pracę, ale mniejsza o to. Robota nie przepadnie, wilki jej nie zjedzą, a co się człek ubawi, to ubawi. Więc tańce i pijatyka trwają do późnej nocy.

Tym sposobem szanowny obywatel ciągnie podwójny zysk, bo niby to Boga chwali i szerzy oświatę, a przytém dobrze wódkę sprzedaje, i pieniądze zostają na miejscu. Lud u niego w czasie roboczym tak jest przepojony wódką, że trudno się trzeźwego dopytać, a wszyscy hurmem ciągną do tego rajy wódeczanego.

Widać że ten jegomość wziął sobie za dewizę stare przysłowie:

Modli się pod figurą,

A diabła ma za skórą.

Ale taka dewiza niezawsze idzie w korzyść, bo diabeł gotów wyjść z za skóry, kiedy się najmniej tego spodziewamy, i ułapić za kontusz, jak nieboszczyka Twardowskiego, a wówczas kusa rada. Wieleśmy już widzieli takich, co kark skreśli na równiej drodze; każdy się pytał dlaczego, a to diabeł z za skóry wyszł.

Niestety, to dobro ogółu, które najświętszym powinno być hasłem, którego nie godziłoby się dotykać nikomu niezasługującemu na ten zaszczyt, na to dobrodziejstwo,—iluz to przytula je do łona takich, co naprawdę tyle o niem myślą, jak ja o przeniesieniu się na stałe mieszkanie do Nowej Zelandyi. Ileż to ono pokrywa sobą niedorzeczności, zboczeń, nawet brudów przeszłego życia, które każdy z tych panów myśli sobie wyprać w tej ogólnej wannie, jakby ona na ich wyłącznie użytek służyła. Zatykają się dziury przeszłości szpontem dobrej intencji, które, niestety, najczęściiej pozornie tylko istnieją.

Pamiętam że był czas, w którym pewna koterya dam naszych, najbezużyteczniejsze części znośzonych swoich ubiorów składała na ofiarę dla świątyń pańskich. Dziś to samo się niemal dzieje. Niektórzy igrają sobie z najświętszymi uczuciami, z wyrazami a przez ich skalane usta nie powinny przechodzić. I co ołtarzom po starych materyalnych sukienkach, co ogółowi po gorzej jeszcze przeszarżanych i zbrukanych odpadkach, z niewiadomo jakiego źródła wynikłych?

Zresztą pan Bóg, jako miłosierny, przyjmie może wszystko; ale ludziom w jego atrybucyę wdawać się nie wolno, i najlepsza sprawa struć się gotowa, skoro do niej zatrute wchodzą pierwiastki.

A ileż to z drugiej strony śmieszności pod tym samym pozorem wychodzi w świat, śmieszności nieszkodliwych wprawdzie, ale niemniej przeto niepotrzebnych, bo pod pewnym względem osłaniają dobrą sprawę. Ot przykład.—Jakiś księgarz ogłasza szumnie, iż w zamiarze *rozpowszechnienia pomiędzy ludem* niektórych dzieł swojego nakładu, zniżył znacznie ich cenę. Rozpowszechnienia pomiędzy ludem—słyszycie! A chcecie wiedzieć jakie to dzieła, które mają do oświaty ludowej posłużyć? Wypisuję wam je z ogłoszenia, ani słowa nie dodając ani odejmując.

1mo. Chądzynskiego wspomnienie Sandomierza i opis tego miasta!

2do. *Gutzkova. Wzór do Świętoszka*, komedia w 5 aktach!!!

3o. *Zwierzęta słynne w historii!!*

4o. Pieniądze, czyli sztuka dorobienia się majątku.

O szczęśliwy ludzie, dla którego księgarz warszawski takie ofiary ponosi, takie ukształcenie szykuje! Nie wiedziałeś, ciemny narodzie! że żył Molier, że żyje Gutzkow; dowiesz się tedy o nich, a w dodatku i o zwierzętach *słynnych w historii*, a zbadawszy dokładnie dzieje twierdzy sandomierskiej, będziesz mógł pieniądze robić, podług zasad spekulanta niemieckiego. Czegóż ci brak, o ludzie, czegóż się żalisz? Okażesz wykształcony gust, rozkupując to, czego publiczność warszawska nie chciała nabywać, bo albo ją nudziło śmiertelnie, albo było nie w porę wydane. Niech Maciek zna Gutzkova, dobrze mu będzie z tem, a ze wzoru do świętoszka nauczy się, jakie powinny być jego stosunki z dworem.

Ba—kiedy myśl mądra, kiedy rzecz użyteczna, to niepotrzeba żadnych szumnych ogłoszeń, ani brzmiających wyrazów: każdy to zrozumie, każdy to pojmie, każdy to uzna. Naprzykład konkurs na budowę szkoły wiejskiej prywatnej, ogłoszony w numerze lutowym Biblioteki Warszawskiej przez Augusta Cieszkowskiego. Nie jestem budowniczym, ale pojmuję że przy tych skazówkach jakie tam dano, miło jest plan narysować i stanąć do współzawodnictwa. Bo to wszystko tam obmyślane: i mieszkanie dla uczących, i dla alumnów, i biblioteka, i laboratorium chemiczne, i gabinety, i czytelnia osobna, i nawet sala do zabaw na dnie słotne lub wieczory zimowe. Wskazano tam możliwe korzystanie ze wszelkich wynalazków i ulepszeń, mianowicie stosownych dla kraju naszego. A nie mówimy już o stronie moralnej, o użyteczności zakładu, która sama za największy bodziec do współzawodnictwa, do ubiegania się o nagrodę służyć powinna, lubo i 2000 złp., oznaczone jako premium, (jeżeli już koniecznie materyalne względy winny wejść w rachunek), są także sumką po którą warto się schylić. Zresztą zadowolenie samo wyznaczającego konkurs starczyłoby powinno za dziesięć razy większą nagrodę; bo uznanie znacznego w całym znaczeniu tego wyrazu człowieka, jest najwyższym dobrem jakie spotkać może pocziwą pracę.

Dobrze zrobiły damy kieleckie, że własnym kosztem założyły prywatną czytelnię; rzecz to użyteczna i godna naśladowania. Ale lepiejby jeszcze uczyniły, gdyby chciały więcej dawać baczenia na wybór książek do tej czytelnicy nabywanych; dzieła bowiem Tripplina i inne tym podobne, zkadinać już bez wielkiej wartości, w obecnych czasach i okolicznościach zupełnie są niestosowne i bezużyteczne. Tu idzie o kształcenie umysłów i serc rodaczek naszych, a z takiej strawy korzyść... niewielka—zabawa... może chwiliowa, ale i ta winna być połączona z pożytkiem. Zresztą jednorazowa opłata 40 złp. wynosząca, jest zbyt wielka. Jeżeli stowarzyszenie to pożądanę ma wydać owoce, odznaczać się powinno przystępnością składki, za wymienioną bowiem sumę każdy ze stowarzyszonych kilka książek dobrych i sam nabyć może; a przecież w stowarzyszeniach podobnych o dwie głównie rzeczy idzie: o dobór dzieł i ułatwienie mniej zamożnej klasie społeczeństwa poznania takowych. Na 40 złotych nie tak łatwo się zdobyć, i przy najlepszych chęciach niejeden i niejedna mogą być pozbawieni uczestniczenia w czytelnicy. Nie kładziemy to jednak na winę założycielek, o których najlepszych chęciach nie wątpimy; zresztą po przebyciu pierwszego doświadczenia, usuną się zapewne te drobne niedostatki, a uczynek zawsze przyniesie pożądanę owoce, bo już teraz w innych miastach przykład dam kieleckich naśladowanym być zaczyna. Jako pocieszający również fakt z tamtych stron, notujemy tu szybki rozwój i wzrost szkółek w okolicach Kielc. Powstają one w krótkim czasie, jakby z niczego, szczególnie za poradą i pod przewodnictwem zacnych kapłanów, Józefa C. i Franciszka G., którzy już wiele po-

święcenia swego dali dowodów. W tych dniach posłane tam zostały na próbę dwa egzemplarze nowej metody czytania, dla szkółek okolicznych i ochronki kieleckiej. Przeglądaliśmy tę metodę, której wynalazcą jest p. Franciszek Krynicki. Zdaje się ona ułatwiać bardzo znużającą naukę czytania, urozmaicać ją i łącząc z rozrywką, a zwłaszcza wykluczając najbardziej nużące dotychczas dla uczniów syllabizowanie.

Najlepszym dowodem że ukształcenie dzieci wiejskich znaczne już czyni postępy jest to, iż te z nich, które zakosztowały już tego chleba, nie dadzą się żadną miarą odciągnąć od nauki. U państwa D** w okręgu pultuskim, zdarzyło się iż chłop pewien, chcąc użyć małego synka do jakiejś czynności domowej, zabronił mu iść do szkoły. Żeby zaś zabronienie swoje poprzeć czynem, ściągnął mu buty; co już czyniło podroż do szkoły dość odległej prawie niepodobną, zwłaszcza przy mrozie kilkunastostopniowym. Ale chłopak przebiegł boso półtorę wiorsty po śniegu, i przeziębiony stawiał się w szkole na czas. Z innej znów chałupy brat i siostra, słysząc ojca użalającego się że nauczyciel nie używa różgi, która jest najlepszym bólem do nauki, stawili się nazajutrz w szkole z książkami i z różgą, którą z wielką czcią złożyli nauczycielowi, jako koniecznie potrzebny dodatek. Takie fakta najlepiej mówią same przez się. Lud chce nauki, pragnie z niej korzystać, dogódźmy więc, o ile nas na to stanie, temu żądaniu.

Czasopismo warszawskie lekarskiej treści, pod tytułem *Pamiętnik towarzystwa lekarskiego warszawskiego*, rozpoczyna w tym roku nową seryą, pod redakcją doktora Łuczkiewicza, członka towarzystw lekarskich warszawskiego, wileńskiego i naukowego krakowskiego, profesora-adjunkta w tutejszej medycyko-chirurgicznej akademii. Z powodu opóźnionej uchwały Towarzystwa lekarskiego, poruczającej redakcję doktorowi Łuczkiewiczowi, powstrzymaniem zostało wydawnictwo tego pisma. Obecnie dowiadujemy się że nagromadzone w dostatecznej ilości rękopisma oddane już zostały do druku na trzy pierwsze miesięczne posyły, przez co redakcja zamierza w jaknajkrótszym czasie uregulować dalsze wydawnictwo. Nowa redakcja, naczynająca pamiętnikowi cel *rozkrzewiania postępu medycyny praktycznej*, na podstawie: „*ściśle badanie—proste leczenie*“, nada, mamy nadzieję, pożądaną kierunek wychodzącemu już od 24 lat czasopismu.

Pomimo powszechnej u nas od pewnego czasu dążeńności do szerzenia oświaty, dalecyśmy od tego co się dzieje w innych krajach, naprzykład w Anglii; czytamy bowiem świeżo w jednym z naszych pism codziennych:

„Boa (wąż samica) znajdująca się w ogrodzie zoologicznym w Londynie i licząca się do jednego z większych okazów, zniosła tamże sto jaj, które wysiaduje z wielką troskliwością, dla przyozdobienia ogrodu i zasilania nauki węzowem potomstwem.“

Patrzajcie więc, jaka różnica! To, z czego my się tutaj chwalimy, w Anglii lada wąż potrafi. Pocziwy czy pocziwa boa, pracuje nad przyozdobieniem ogrodu zoologicznego i zasilaniem nauki, i to bez żadnej w świecie pretensyi, tak sobie, jak gdyby nigdy nie. I żeby nie ogłoszenie wspomniane, światyby może nie wiedział o tem. Biermy z tego przykład i bądźmy nietylko już *roztropni* jak węże, kiedy nam to z trudnością przychodzi, ale także *pracowici* jak węże i skromni jak węże!...

Z powiatu lidzkiego otrzymaliśmy reklamacyą przeciwko korespondencyi zamieszczonej kilka tygodni temu w kronice naszej, a obwiniającej obywateli tamtejszych o oziębłość i opieszałość w urzędowaniu stosunków z włościanami. Reklamujący twierdzi że powiat lidzki nie daje się pod tym względem wcale wyprzedzać innym. Cieszymy się jeżeli tak jest i pragniemy wierzyć, bo wolimy zawsze dobre niż złe, zwłaszcza w sprawie która obchodzi nietylko już całe obywatelstwo wiejskie, ale całe społeczeństwo nasze.

Doniosły już gazety, że w dniu 26 z. m. urzędnicy górniczy okręgu wschodniego, zebrani w Suchedniowie, żegnając swojego naczelnika, pana Szmideckiego, który został powołany do Warszawy na wice-dyrektora wydziału górnictwa, ofiarowali mu pierscionek brylantowy. Nadto na pamiątkę jego w tych stronach pobytu powzięli zamiar utworzenia w Suchedniowie publicznej biblioteki, zapraszając go na opiekuna. Nie znamy bliżej zasług nowego wice-dyrektora, w każdym jednak razie uczczenie go przez kolegów takim czynem pożytku publicznego, pięknym dlań jest świadectwem.

Korespondentowi żalącemu się na napływ wyrazów cudzoziemskich w naszym języku, przyznajemy słusność, dodając jednak iż w obecnym stanie rzeczy trudno na to radę znaleźć. Jedynie uznana powaga

towarzystwa naukowego, gdyby takie u nas istniało, mogłaby choć w części zaradzić złemu, i to dopiero po silnej propagandzie i po pewnym przeciągu czasu. Inaczej bowiem wyrazy świeżo utworzone wydawałyby się daleko niezrozumialszymi od dawniejszych, i zamiast rozjaśnienia, posłużyłyby tylko do zawiakłania mowy. Na stwierdzenie naszego zdania przytoczymy zdarzenie jakie miało miejsce w jednym z handłów warszawskich.

Do parasolnika przyszedł pewien jegomość, żądając tego niezbędnego, zwłaszcza w obecnej porze i w naszym klimacie, sprzętu.

— Chciałbym kupić u pani dęszczochrona, zapytał się kupcowej stojącej za kantorem.

— Czego pan żąda? odpowiedziała kupcowa, nie obyła widać z tem niezupełnie jeszcze utartem wyrażeniem.

— Chcę kupić dęszczochron.

Nie rozumiejąc, odrzekła kupcowa, i zwracając się do córki pracującej w sąsiedniej izbie, zawołała:

— Różeńko! nie wiesz przypadkiem czego ten pan chce? bo nie mogę go zrozumieć.

— Mamo, ten pan chce parasola, odpowiedziała Różeńka, lepij jakos obeznana z innowacyami językowymi.

— To co innego, gadajże pan po polsku, bo któż pana zrozumie?

W ubiegłym tygodniu miało miejsce w Warszawie roczne ogólne zgromadzenie tutejszego Towarzystwa sztuk pięknych. Wybrano członków do komitetu, którego skład zeszlóroczny utrzymał się, z małemi odmianami. Posiedzenie odbyło się w auli akademickiej.

Przy tej sposobności niech nam wolno będzie odprzeć uczyniony nam ustnie zarzut najniesłuszniejszy, jakobyśmy w popieraniu interesów Towarzystwa sztuk pięknych niedosyć okazywali się chętnymi. Tę niechęć urojoną niektóry w tem w.dziękniemają, że niezawsze drukujemy nadsyłaną nam w formie doniesienia wiadomość o nowoprzybyłych na wystawę obrazach. Tygodnik *Ilustrowany*, jak wiadomo, nie ma ani doniesień, ani rubryki wiadomości znaczkowych; jedynie więc *niekiedy* w kronice tygodniowej zamieszczać może pobieżne, a w kronice sztuk pięknych obszerniejsze o wystawie sprawozdania; ale też z obowiązku tego jeżeli które, to nasze pismo, wywiązywało się zawsze i wywiązuje najsumienniejsz, i nawet, jak mniemamy, *bardzo skutecznie!*...

Zalecamy czytelnikom dwa pisma różnorodnej treści i zakresu: Przyjaciela zdrowia doktora Gregorowicza, i Kółko domowe panny Szmigielskiej. Obydwa zresztą te pisma mogłyby się śmiało obejść bez naszego przedstawienia, od pewnego już bowiem czasu pracą pożyteczną zjednały one sobie sympatyą czytelników. Ale praca sumienna zasługuje na bezwzględne uznanie, a w obu pismach redakcja najzupełniej odpowiada zamierzonemu celowi, co, jak wiadomo, jest najtrudniejszym zadaniem piszących.

KILKA KARTEK Z WYCIECZKI PO KRAJU.

Ogrodzieniec i Podzamcze.—Pilica.—Smoleń.—Giełło, Lgota murowana.—Morsko.—Skarżycze.—Kromolów.

(Dokończenie.)

Któż w młodocianych swych latach, słuchając i czytając powieści o ciemnych jaskiniach i zamkach zbójceckich, nie zapragnął zobaczyć własnymi oczyma tych poezya zgroy obwianych przybytków? Kto to młode życzenie zaspokoić pragnie, niechaj się uda w okolicę z której wracam, a znajdzie tło, na którym cudownie będzie mógł rozwinąć wszystkie zapamiętane strasznych powieści szczegóły. Znajdzie tu i jaskinie, i zwaliska rozbójniczego zamku, o których pomiędzy ludem prawdziwie poetyczne tułają się podania. Jaskinie mieszczą się w skale pod nazwiskiem Okienika znanę; zamczykso, w lesie do wsi Morsko należącym położone, Morskiego zamku nosi nazwę. Chodźmy zwidzieć te tajemnicze niegdyś schronienia! Czarny kruk, posępnie w górze kraczący, prowadzi nas!...

Okiennik leży na gruntach do Lgoty Murowanej należących, ale o dobre pół mili od dworu. Droga do niego wiedzie długim, posępnym, jednotonnym sosnowym lasem. Ale za wyjazdem z lasu otwiera się znowu nieprzejrzana panorama mniejszych i większych, to nagię, to bujną zielenią drzew pokrytych wzgórz, po których szarżę niezliczone mnóstwo skał, rozmaitych rozmiarów i kształtów. W niewielkiej pomiędzy dwoma spadkami wzgórz dolince, wznosi się wspaniale największa ze wszystkich, Okiennik. Nazwę tę otrzymała od samorodnego na przestrzał otworu, w naj-

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).

wyższej skały części. Sama ta osobliwa igraszka natury zasługiwałaby na widzenie, gdyby nawet Okiennik innych zajęcia nie nastroczał powodów.

Cała skała ma u dołu kilkaset kroków obwodu, a w najwyższym miejscu dochodzić może do stu bli-



Nr. 18.

Wiek XIV. Poborca i włościanin. Rysunek wzięty se starych drzeworytów do legendy o św. Jadwidzie.

ko łokci wysokości. Gęste zarośla, przez które z trudem przedzierać się trzeba, otaczają jej podnóże, a miejscami, gdzie mniejsza stromość pozwoliła osiąść pokładowi rodzajnej ziemi, wspinają się aż ku górnej części opok, ułatwiając wdarcie się na nie. Gdyby nie to, nigdyby na nich ludzka nie postąpiła noga, tak przepaściście od dołu sterczą kamienne przyrodzonej twierdzy tej ściany. W górze kamień więcej już przedstawia chropowatości, dzięki którym, przy niejakiem wysileniu i zręczności, nie tylko do okna, ale i nad nie, na najwyższy szczyt skały, wdrzeć się można. Ta ostatnia próba jest jednak ze znacznym złaczną niebezpieczeństwem, każde bowiem silniejsze zadęcie wiatru, może strącić w przepaść z trudem ślizkiej opoki czepiającego się śmiółka.

Okno, czyli wydrążenie od którego skała wzięła miano, jest prawie owalnego kształtu, od dwóch do półtrzecia sążnia szerokie i tyleż prawie wysokie.

Długość jego, to jest grubość skały przez którą przechodzi, wynosi kroków dwanaście. Przez całą tę długość w dole okna ciągnie się parę łokci szeroki pas murawy, bujnie rosnącej na naniesionej wiatrami ziemi. Godziny całe możnaby trawić, siedząc na tym miękkim kobiercu i spoglądając na okolicę—tak rozległy i uroczy przez chropowate ramy skały odsłania się widok. Ale w chylącej się ku jesieni porze roku, zbyt tu już czuć się daje ostrego wiatru silny i bezustanny przewiew, długo rozsiadać się niedozwalający.

Z czasów kiedy Okiennik był zbójcekiej drużyny siedzibą, w oknie pozostały wyraźne ręki ludzkiej ślady w wyciosanych w skałę wrębach, do zapu-

szczania belek widocznie służących. Belki te służyły niewątpliwie do utwierdzenia drewnianej ściany, otwór od strony przystępnej zamykającej, zasłaniającej schronionych za nią od przykrego przeciągu powietrza, a w potrzebie mogącej posłużyć za przedpiersnik obrońcom samorodnej twierdzy.

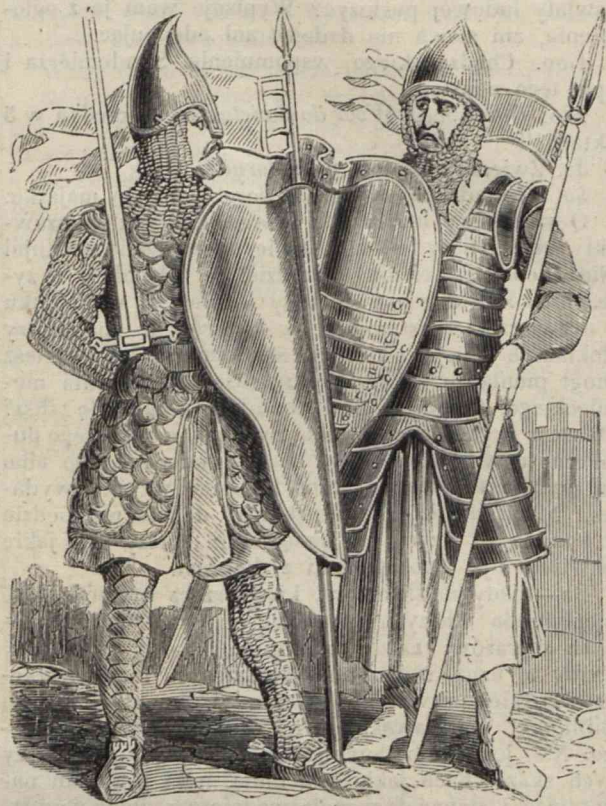
O parę łokci zaledwie poniżej okna, znajduje się drugie, również na przestrzał przez skałę idące, ale odmiennego kształtu wydrążenie. Wniście do niego, w które po drabinie spuszczać się trzeba, jest tak wąskie, że zaledwie jeden człowiek na raz się przez nie precieśnie, środek zaś przedstawia obszerną pieczarę, którą szeroki od strony przepaści otwór oświeca. Pięćdziesiąt ludzi mogło tu mieć wygodne schronienie. Tu też musiała być główna zbójców kwatery. Głębokie naturalne wklęsnięcie, w jednej ze ścian, służyło widać szczególnie do palenia ogniska, jak dowodzą zczerniałe od dymu w niej głazy. Przed niedawnymi jeszcze laty cała ta jaskinia zarzuconą była rumowiskiem kamieni, wśród których gdzieś przegładały zwierzęce i ludzkie kości. Gdy wszakże jakiś szczęśliwiec znalazł pod kamieniami cegielkę czy sztabkę złota, naturalnie zajęto się gorliwie wszystkiego rumowiska przetrząśnięciem, przez co teraz pieczara czystutko przedstawia się zamieciona. Ten też był jedyny umyślnych poszukiwań skutek. Już to z wszystkimi tak zwanymi skarbami bywa zawsze tak jak w bajce: szczęśliwy przypadkiem je odkrywa, szukający nigdy nie znajduje.

Jeszcze nieco niżej od opisaną tylko co jaskini, znajduje się mniejsza, lecz za to najtrudniej dostępna pieczara. Jedyne jakie jest do niej wniście czerni się w niedostępnej ścianie skały, o jakie czterdzieści lub pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Jak się zdaje, niegdyś dostawano się do niego za pomocą lin z góry spuszcanych. Wewnątrz zmieścić się może kilkanaście najwięcej osób. Jak mówią, tutaj miał być główny skarbiec zbójców, zamykany na podwójne drzwi żelazne, co czworogranny kształt otworu stwierdzać się zdaje. Drzwi te znajdują się obecnie jedne w kościele pobliskiej wsi Skarzyc, drugie w miasteczku niedalekiem, Kromolowie.

Wieśniacy okoliczni twierdzą, że w skałach Okiennika jest jeszcze mnóstwo innych pieczar, dzisiaj zasypanych. Co pewna, to że kiedyś dostępne miejsca

a pojmiemy jak ważnym oparcia punktem musiała ona być dla każdej szajki na wszystko gotowych opryszków i jakim ci postrachem ztąd napelnić mogli okolice.

Kiedy miało miejsce to panowanie zbójców? natu-



Nr. 19.

Wiek XIV. Rycerze w pełnym uzbrojeniu. Rysunek wzięty ze współczesnej pieczęci.

ralnie niewiadomo. Mogli oni tu kilkoma nawrotami rozbijać swe namioty, zanim wycięcie lasów i powstanie wsi Skarzyc niepodobnym to uczyniło. Najpomyślniejszymi dla nich epokami były lata, kiedy osłabiona podziałami, lub wojnami długimi zaprzętą władza w Krakowie, nie miała czasu albo sił do śledzenia i uskramiania gwałtów i robojów. Podanie jednak gminne jeden tylko z dziejów Okiennika, z lasami niedaleko położonego Morskiego zamku w związku zostający, zachowało ustęp. Zapomniany już dziś prawie, a przecież godzien pamięci, Bogdan Dziekoński, tak je zapisał przed osmnastą laty, we wspomnieniach z odbytej w tych stronach podróży.

„Opowiadano mi, iż niegdyś zamek panów Morskich był niezmiernie obronny i wspaniały. Miał go zajmować pan możny i dumny, słynny swoim i dworzan swoich okrucieństwem. Córka jego, jak zwykle w podaniach, cudnej urody i niezwyklej cnoty, zajęła serce jakiegoś ubogiego młodzieńca. Ubogi pozyskał wzajemność. Dumny ojciec, spostrzegłszy miłość, dziecko swe wtrącił do lochu i głodem zamorzył. Wtedy kochanek stał się mścicielem. W pieczarach skały Okiennika zbudował na nowo stolicę. Ztąd rzucał postrach wokoło. Ludne i wesole zamki zaparto, wzywano do pomocy zbrojne hufce żołnierzy, ale wszystko nie nie pomogło. Nikt nie ośmielał się wychylać na pola, bo ze skał,

z gęstwiny krzaków, rozbójnicy niewidzialni a srodo wypadali i krwią zlewali pola.

„Zemsta działała w końcu, iż drogi wiodące do Morskiego zamku zarosły trawą, a ziemia w około bielila się kośćmi poległych. Nakoniec wydano walną



Nr. 20.

Wiek XIV. Dwaj książęta w towarzystwie dworzan i niewiast, w strojach świątecznych. Figury książąt wzięte ze współczesnych grobowców w Krakowie i Dijon; niewiasty ze starożytniej pieczęci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

zamknięte były kamiennym murem, którego ślady przed dwoma dziesiątkami lat widoczne jeszcze były, jakbądź teraz już dopatrzeć się ich trudno. Wystawmy sobie tak umocnioną naturą i sztuką dziką tę warownię, ukrytą w tajnikach wyciętych dziś lasów,

bitwę. Niebo się w nią wdało. Wśród gromów i burzy zamek ogniem i żelazem na wieki zniszczony został. Jakim sposobem zniknęli zbójcy ze sceny?... podanie zamilcza. Mówią tylko, iż owe wielkie drzwi żelazne długie wieki przebywały w skale, i niedawno dopiero, paręset lat temu, do kościołów na pamiątkę przeniesione zostały. Na ruinach zamku ma się czasem jeszcze w burzliwych nocach jesiennych ukazywać olbrzymia czarna postać, i nietrudno znaleźć takich, co straszne jej rysy widzieli.“ (*)

Jak zwykle podanie gminne, tak i to ma wiele wariantów. Jeden z nich opowiada, że dwaj bracia Morscy, wybudowawszy cichaczem w należącym do siebie lesie niedostępny zamek, poczęli, wzorem niemieckich w pobliskim Szląsku rycerzy, trudnić się rozbójem po drogach, przy czem nie szczędzili wszelkiego rodzaju gwałtów wywieranych na pobliskich wsi ludności. Najstraszniejszym było, że oprócz dobytku, porywali spokojnym mieszkańcom córki i żony, których już potem nigdy ludzkie nie widziało oko. Trwało to długo — aż raz porwano kochankę czy żonę jakimś drobnemu szlachcicowi czy sołtysowi, co wprzód wojskowo służywał. Ten postanowił się zemścić i ukarać zbrodniarzy. Z mnogich pokrzywdzonych zebrałszy sobie drużynę i umocniwszy Okiennik, zaczął z niego prowadzić podjazdową z panami Morskimi wojnę. Odparłszy ich kilkakrotnie od swęj twierdzy dzikiej i osłabiwszy na sile i duchu ciąglem prześladowaniem ich szajkę, podburzył narzeczcie lud okolic do złączenia się z sobą, i przy jego pomocy zdobył zamek Morski, który zburzono do szczętu. Sam jednakże mężny mściciel znaleźć miał śmierć na jego zdobytych murach.

Inna na koniec wersja mówi tylko krótko, że dwaj bracia Morscy rozbijali długo, mając schronienia w zamczysku i w Okienniku, aż po długich bezużytecznych usiłowaniach, udało się wojskom królewskim oba te miejsca zdobyć. Jeden herszt zginął w bitwie, drugi, tułając się, potem zabity.

Bądź jak bądź, historia Okiennika i zamku Morskiego tak są z sobą połączone, że kto pierwszy z nich zwidza, nie wolno mu opuścić drugiego. Leży on też bardzo blisko, ścieżkami polnymi zaledwie o małe pół mili. Przed wniściem do lasu, w którym zamczysko się kryje, oko spotyka powtórzone raz jeszcze to samo dziwne natury igrzysko co w Okienniku, to jest skałę u wierzchołka mieszczącą podobny samorodny otwór. Ale skała ta składa się tylko z jednego słupa, naksztalt obelisku sterczącego, i pod względem rozmiarów porównać się nie może z Okiennikiem.

Opuściwszy główną, przez las prowadzącą drogę, ustronną drożyną, przypominającą cudną wrotkę Mickiewicza:

„Nie jeździł w te szlaki
Nikt z dawnego czasu...”

zbliżamy się do ruin zamku. Jesteśmy już od nich tylko o sto, tylko o kilkadziesiąt — tylko o kilkanaście kroków... a dotąd nie nie widzimy. Las gęsty buków, jodeł i świerków ogromnych szumi tylko dokoła, a po za szaremi pniami i zielenią liścia i igliwia, zaledwie o kilka kroków spostrzedz można szarą jakąś, potężną, jednolitą skałę, pionowo jak ściana wzbijającą się w górę, tak iż jej wierzchołek po za gałęzmi drzew dojrzyć trudno. Ale przypatrzwszy się bliżej, dostrzegamy że ta olbrzymia bryła nie jest sa-

mą przyrody dziełem, że liczne w niej odstępki i szpary wypełnione są murem z kamienia, spajany murem jak kamień sam wapnem. Obchodząc ją dokoła, natrafiamy wreszcie na wąską, przy ścianie skały czepiającą się, pochyłą ścieżkę, po której nie bez trudu na wierzch wdręć się można. Dzięki jej, stajemy na posadzce zburzonego Morskiego zamku.

Dziwnyż to zaiste widok odkrywa się na tej stulkudziesięcio-stopowej wysokości. Dwóchsetletnie

dającym gościu niezatarte sprawić musi wrażenie. W tej głuchej samotności, w tym spustoszeniu czujesz dopiero całą wartość zasłyszanych o panach Morskich podań, czujesz że straszne jakieś dzieje opowiedziałyby ci te ostatnie zwalisk szczęty, gdyby przemówić umiały — i nie dziwisz się, że w ciemnościach nocy gmin widzi czarną postać błądzącą po zgłiszczu tym złowrogim...

Jak z posady na której stał wnosić można, zamek

Morski niesłychanie musiał być szczupły. Wierzch skały na sto, do stu kilkudziesięciu kroków długości, ma w przecięciu ledwie dziesięć szerokości, i tylko w obu końcach nieco się rozszerza. W tych dwóch miejscach wznosiły się bezwzględnie dwie ciasne, wysmukłe baszty, mieszkania w sobie zawierające; resztę zaś powierzchni zajmowało wąskie podwórze. Ale za to zamek, jeśli był dostatecznie zaopatrzony w żywność, przy bardzo małej załodze mógł uragać wszelkim szturmom, w owych oddalonych wiekach, w których niezawodnie wziął początek. Jedyna stroma ścieżka do niego wiodąca mogła być zasypała gradem kamieni z panującej nad nią ściany. Było to więc wyborne zbójckie gniazdo, ale żadną miarą wielkich panów siedlisko. Mogło być jednak, że do górnego zamku, jak to często bywało, tulił się dolny, mniej obronny, ale obszerniejszy i dogodniejszy na mieszkanię pańskie. Bardzo wyraźne ślady ręką ludzką kopanych rowów czy dołów nieopodal skały, naprowadzają na to przypuszczenie.

Że powieściom gminnym o Okienniku i Morskim zamku rzeczywiście jakieś dane za wątek służyły, o tym powątpiewać się nie godzi. Dziać się zaś to wszystko mogło nie później, jak w epoce podziału Polski, przed jej przez Przemysława zjednoczeniem. Jakkolwiek bowiem i w następnych jeszcze wiekach w chwilach klęsk kraju odgrywały się nieraz podobne dramata, dziejopisowie zapisywali je skrzętnie w kroniki. Tymczasem w tychże nie tylko najmniejszego śladu wypadków z podaniem gminnym analogią jakąś przedstawiających, ale nawet żadnej o Morskim zamku nie znajduję nigdzie wzmianki. Dowód to, że bardzo wcześnie istnieć przestał, gdyż inaczej, tak niedaleko stolicy państwa położony, musiałby kiedy nastroczyć do wspomnienia go sposobność.

Niesiecki wymienia dwie rodziny Morskich nazwisko noszące. O jednej mówi bardzo lakonicznie: „Morski, herbu Jastrzębiec, w Krakowskim. Paprocki i Okolski o nich nie pisał.“ O drugiej, herbu Topór, szerzej się rozpisując, powiada że od Nekandów Toporczyków początek wzięli, ale od dóbr imienia Morskich nabyli. Możliwe więc przypuszczać że panowie Morscy gminnej powieści do tej starożytnej, dumnej i potężnej należeli familii. Lecz gdy wiadomo, że za piastowskich czasów nazwiska rodzinne właściwie nie istniały, a każdy właściciel ziemi brał od niej nazwanie, Morscy podaniowi mogli do żadnej u Niesieckiego wymienionej nie należeć linii.

Zamek Morski, Okiennik i cała okolica w której leżą te oba dzikie pomniki, tyle dla mnie miały interesu, że pożegnawszy spieszących się towarzyszy wędrowki, korzystając z gościnności właściciela Skarżyc i Morska, parę dni całych tu jeszcze spędziłem, włócząc się po lasach i skałach. Jakoż ze skał dwie jeszcze znalazły się wzmianki godne.

Jedną, o sto do dwustu kroków od Okiennika położoną, zwraca uwagę przyrodzoną osobliwością. Jest



... a kiedy biedny kmicie narzekał i płakał, Boruta śmiał się całą gębą. (Pomysł i rysunek Kossaka).

buki i świerki rozrastają się na niej tak bujnie, jak w położonym u stóp jej lesie. Pomiedzy niemi krzewią się ciernie i różna pozioma gąszcz leśna. Na wąskiej, długiej, nierównej, pełnej dołów i wyniosłości skały, sterczy kawał szarego kamiennego muru, z szczupłą bramką. Miejscami pomniejsze murów szczątki czepiają się niepożytej opoki, od której rozróżnić je trudno. Otóż i wszystko co widzieć można na miejscu



W kącie, na bryle złota, siedział sam Boruta, w postaci sowy z iskrzącymi oczyma. (Pom. i rys. Kossaka)

gdzie stał Morski zamek. To już nie ruina nawet, to zaledwie ślady budowy. A jednak, wiercie mi, że kto by, będąc w okolicy, zaniedbał wdręć się do nich, prawdziwą wyrządziłby sobie krzywdę. W mnogich moich po różnych krajach wędrowkach, zwidziałem niezliczoną dawnych ruin ilość, a przecież nie zdarzyło mi się widzieć miejsca tak dziką tchnącego poezią. Z szczegółów niema tu nic do widzenia, ale ogół na każdym, najmnij czucia i wyobraźni posia-

(*) Patrz: Jaskółka, Pamiętnik wydany przez R. Zmorskiego i J. B. Dziekońskiego. (Warszawa 1843), str. 90.

ona od góry do dołu, w wysokości kilkudziesięciu stóp, wydrążona tak regularnie, że nie widząc zewnątrz opoki, wziąłbyś ten samorodny otwór za jakiejś kragłej baszty ruinę.

Druga, na kraju otaczającego zamczysko lasu piramidalnie z gęstwy świerków stercząca, nosi nazwę Skrzypkowej skały, a to z następującego powodu.

Kiedys na jej niedostępnym wierzchołku zjawiał się co wieczór skrzypek w czerwonym ubraniu, który wygrywał tak cudnie, że co go tylko raz zasłyszano, leciało pod skałę jak szalone i tańczyło aż do dnia białego. Każdy się łatwo domysli, że to nie był kto inny, jak sam diabeł, odwodzący swoją piekielną muzyką od pracy i pacierza, a podżegający do obrazy Boskiej, o którą wśród szalonej po lesie hulatyki nie było trudno. Że jednak każda rzecz ma swój koniec, skończyło się i z grywaniem czerwonego skrzypka. Tu przecież podanie szwankuje, nie opowiada bowiem żadnej katastrofy, która koniec położyła piekielnej muzyce. Wolno więc każdemu tłumaczyć sobie jak zechce: albo że młodzieży tańczyć, albo że diabłu grać się sprzyrzyło. Co do mnie, myślę że to drugie.

W kościele wsi Skarzyc, może o pięćset tylko kroków od Okiennika odległej, znajdują się jedne z żelaznych drzwi z jego pieczar wyjętych. Służą one obecnie do zamykania zakrystyi, a powierzchowność ich cała, gruba i bez żadnego względu na to jak będzie wyglądać robota, tudzież rdza tak silna, że tylko w wilgotnych jamach osiaść mogła, w zupełnej z podaniem o ich pochodzeniu są zgodzie.

Sam kościół tutejszy, na początku XVII wieku przez Kalinowskiego z Murowanej Lgoty, do którego wówczas i Skarzyc należały, wymurowany, jest bardzo ładny i schludny, ale nie godnego widzenia w sobie nie mieści. Nad presbiterium położony rok 1788 wskazuje zapewne odnowienia datę. W murach tkwią kilka nagrobków familii de Heppen, w której posiadaniu Skarzyc przez sto lat z górą zostawały, ale najstarszy z nich sięga tylko 1799 r.

Drugie drzwi w Okienniku znalezione mieszczą się w kromolowskim kościele. Zobaczywszy je, może-bym tak bardzo z druznieniem nie był ciekawym; ale w Starożytnej Polsce p. p. Balińskiego i Lipińskiego wyczytałem, że kościół był przez jakiś czas arian-skim, aż go w r. 1574 Mikołaj Firlej, na łono katolickiego wyznania wróciwszy, temuz wyznaniu przywrócił i przyozdobił. Miałem więc nadzieję znaleźć dawną i ozdobną świątynię i dla niej Kromolów nawidziałem. Prawdę jednak mówiąc, mogłem sobie być trudnego tego oszczędzić.

Kościół, zewnątrz odrapany i brudny, a wewnątrz biedny i zaniedbany, niczem się nie odznacza. Podobno też tylko terazniejsze presbiterium i zakrystya istniały za arian-skich czasów, a reszta później przybudowaną została. Jedna kaplica św. Anny, jak mówią przez jakąś Teklę Bonarównę wzniesiona, zwraca cokolwiek uwagę poblakłymi wprawdzie, ale niezłego pędzla freskami. Nagrobków jest w kościele kilka, wyłącznie prawie rodziny Gostkowskich, w których rękę Kromolów zostawał do niedawnych jeszcze czasów. Na wzmiankę z nich zasługują pomnik Konstantego Gostkowskiego, generała wojsk pol. w 1817 r. zmarłego, i Piotra, pośła lełowskiego, który 1835 r. życie zakończył. Stary nagrobek jest jeden tylko, na wielkiej marmurowej tablicy wyrity i po lewej stronie u wnijsia do presbiterium umieszczony. Ażeby coś wynieść z Kromolowa, przepisałem go w całości i tu podaję tém bardziej, że nie jest on bez niejkiej historycznej wartości.

D. O. M.

Gnosis ac magnis D. D. de Bzow
Wojszowie inclytae vetustissimaeq prosapiae
ex stemmate Pilavienus Heroibus,
quorum Cromolienis Ecclia
pios hic reconditos habet in se cineres,
Hoc monumentum
pietatis debita avis et progenitoribus eorum
virtute pietate meritis
ubiq probatissimis et
laudatissimis

Perill. et Adm. R. D. Albertus Woysza Chelmen. praeposit.
Canonicus plocensis, primo Serenissimi Regis Vladislai IV
secretarius, deinde Sereniss. Caroli Ferdinandi principis
Poloniae et Sueciae Praelatus domesticus,
tum et

generosus D. Stanislaus Woysza S. R. Majestatis
aulicus et secretarius
poni jusserunt

Anno Domini 1648, mense septembri.

Na ścianie kościoła pokazywano mi jeszcze obraz Ukrzyżowanego, od Aryan jakoby pozostały. Powierzchność ma on dość dawną; ażeby jednak osądzić

czy sięga XVI wieku, potrzebaby lepszego ode mnie znawcy.

W Kromolowie bierze początek Warta. Na samém jej źródle pobożni ojcowie nasi wystawili kapliczkę św. Jana Chrzciciela, która dotąd stoi — co jednak nie zapobiegło, niestety, że u ujścia Warty pluszcze się... o! lepiej nie powiem kto.

Najbardziej interesującym w Kromolowie jest dwór, typ prawdziwy staropolskiego, pomiędzy zamkiem lub pałacem a małoszlacheckim dworkiem środek trzymającego dworu—obszerny, murowany, bez pietra, gontą kryty, z czworogrannymi po rogach wieżyczkami. Otaczają go rozległy dziedziniec i ogród, wszystko wysokim kamiennym okolone murem. Ogromne i liczne w murze tym wyłomy, smutno choć malowniczo odbijające od świeżej białości dworu i budynków, zdają się być śladami jakiegoś najazdu, czy też stoczonych tu w niezbyt dawnych czasach bitwy.

Miasteczko to, małe i ubogie, ale schludne, dziwnie jest uposledzone pod względem położenia. Otoczone obfitością w malownicze widoki okolicami, samo leży w takim smutnym i zamkniętym dole, że się aż dziwić przychodzi jak się mogło tu znaleźć. Z jednej strony wszelki widok zakrywają nagie i bezbarwne spadki wzgórz, z drugiej ciągną się jałowe zasy piasków, wśród których rozlewa się miejscami w moczary gnuśnie płynąca Warta, a za niemi resztę świata zasłania las ciemny.

Szczęściem smutny ten widok i piaszczysta ciężka droga nie trwają długo. W dziesięć minut po wyjściu z miasteczka doszedłem do bitej drogi, tej samej która nas na początku wędrowki od Zawiercia do Ogrodzieńca prowadziła. W pół godziny później siedziałem już w powozie parowego pociągu, który mnie ku Dąbrowie z Zawiercia unosił.

Tak się skończyła moja niedługa wycieczka, w obwodzie dwóch zaledwie mil kwadratowych odbyta. Gdyby wszystkie drogi i ścieżki, tam i nazad w ciągu niej przebyte, w jedną wyprostować linią, wyniosłoby to najwyżej siedm mil. Niech kto chce sądzi, czy na tej niewielkiej przestrzeni mało było do widzenia przedmiotów, mało do doznania wrażeń. Z.

BORUTA.

Dawne podania narodowe szczególnie uwydatniły nam sławnego diabła *Borutę*. Brzmi jego imię zarówno w tradycji szlachty łęczyckiej, jak u ludu na całym Mazowszu.

Główną jego siedzibą były lochy starożytnego zamku łęczyckiego, a najwięcej psot robił na gościńcu wśród ogromnych błot, co rozdzielały dawny tum od samej Łęczycy.

Budowla tumu z odległych pochodzi wieków: dwie wieże z głazów granitowych wskazują to wyraźnie. Na narożniku lewej, widać ślady głębokie pięciu palców; lud je podaje jako wycisk ręki *Boruty*, który rozgniewany o to, że w jego dziedzinie wznoszą ludzie kościół, w uniesieniu wściekłym obalić chciał wieżę; ale była niewzruszoną, a *Boruta* wycisnął tylko na granicę narożnym pięć ogromnych swoich palców.

Podanie to wskazuje, że należy on do bardzo dawnych diabłów polskich, bo starszy jest od starego tumu łęczyckiego.^(*)

Chłopkom psoty wyrabiał, wprowadzając ich w błota i topieliska, a kiedy biedny kmić, często podochocony, narzekał i płakał, nie wiedząc jak wybrnąć ze swym konikiem, *Boruta* śmiał się całą gębą i kłaskał w ogromne łapy radośnie.

Ale najwięcej lubił igrzać ze szlachtą, a jakoś charakterem, nawyknięciami i fantazją zbratał się głównie ze szlachtą łęczycką, którą sąsiedzi *piskorzami* zwali. Za ten przydomek niebiednego karmazyna szlifowaną demeszką miał czoło wybrudzone, szmarzę przez policzki lub przez czuprynę, albo ucho obcięte; nazwa jednak *piskorza* tak przyrosła do imienia Łęczycanina, że jej i ostrze szabli zapomnieć nie dało.

Jeżeli lud dotąd na granicę wieży tumu pokazuje ślad *Boruty* ręki, jeżeli przypomina małe jego psoty, to szlacheckie podania dokładniej go nam przedstawiają i charakteryzują tak, że zdaje się jakby to był typ prawdziwy dawnego łęczyckiego *piskorza*. Imię jego zachowało się nawet w szlacheckich kłótwach, bo dawniej, gdy jeden drugiemu chciał dogryźć, wo-

łał: *Żeby go Boruta zdusił, albo mu łeb ukreślił, a diabeł, (mówi podauie) nieraz spełniał życzenia te, w gniewnym wymówione zapale. Posłuchajmy tradycyi szlacheckiej o naszym Borucie.*

I.

W pobliżu zamku łęczyckiego mieszkał szlachcic niewiadomego nazwiska i herbu, rosły i silny. Nikt z nim mierzyć się nie mógł na szablę, bo za pierwszym złożeniem, potężnym zamachem przeciwnikowi wytrącał oręż z ręki. Jak się raz plecami o zgrab domu oparł, całe sąsiedztwo nie dało mu rady; a wiadomo że wtedy nie używano ognistej broni, tylko szabli. Strzelbę uważano za broń zdradziecką, szablę za honorową. To też ów szlachcic, dzielny rębacz, tak wywijał młynka demeszką swoją, że jednym powytrącał szablę z ręki, drugich tak obciosał, iż uciekli jak oparzeni.

Zład nasz szlachcic dostał przydomek *Boruty*, bo mówiono powszechnie że musiał mu diabeł *Boruta* pomagać, kiedy z całego zaścianka wszyscy nie podolali mu razem; a że nosił siwą kapotę, dla różnicy więc od prawdziwego diabła, dostał przydomek *Siwy*.

Od owej chwili każdy go mijał lub ustępował mu z drogi; nawet w gospodzie rozchochoła szlachta, kiedy porwała się do szabli, na sam głos *Siwego-Boruty* wybiegała do sieni albo na podwórze, i tam karbowala sobie dymiące łysiny.

To uszanowanie, a raczej ta bojaźń sąsiadów, co znali moc żyłastej ręki, wbiła go w dumę. Uniesiony nią, nieraz się w zuchwałej przechwałce odgryzał, że jak złapie prawdziwego *Borutę*, to mu żebra połamie albo karku nadkręci, a skarby których pilnuje zabierze.

Uważano kilkakrotnie, że wtedy słyszeć się dawał w piecu lub za piecem śmiech szyderczy.

Siwy-Boruta kiedy pił, a pił nieładą, bo go najtępsi bracia-piskorze nie mogli przepić, zawsze pierwszą czarę wypijał za zdrowie diabła *Boruty*, a wtedy zaraz rozlegał się głos gruby, przeciągły, jakby z podziemnego lochu: *dziękuję waszmości*.

Siwy-Boruta miał dużo pieniędzy, ale wkrótce w hulance je roztrwonil; postanowił przeto dostać się do skarbow w lochach łęczyckiego zamku i wziąć z parę mieszków złota od swego *miłego pana brata*, jak nazywał diabła *Borutę*.

O samej północy, zapaliwszy latarnię, zuchwały szlachcic, ufając swojej sile i szabli, którą dobrze wyostrzył i przymocował do ręki rzemieniem, poszedł do lochów, latarką rozświecając sobie ciemnotę dookoła panującą. Ze dwie godziny chodził po zakrętach, i nareszcie, wybiwszy drzwi jedne żelazne ukryte w murze, ujrzał rozsypane skarby; w kącie, na bryle złota, siedział sam *Boruta*, w postaci sowy z iskrzącymi oczyma.

Poznał go odrazu, bo pod pierzem przeglądał kontusz i żupan, rogatywka, buty z cholewami żółte, a szablę dobytą z pochwy trzymał pazurami.

Zbladł i zadrżał na ten widok zuchwały dotąd szlachcic i spociał się potężnie ze strachu; po chwili jednak, przyszedłszy nieco do siebie, wyrzekł z cicha z ukłonem i pokorą:

— Mnie wielce miłościwemu panu bratu klaniam uniżenie.

Sowa kiwnęła głową, co rozweseliło i ośmieliło *Siwego-Borutę*. Ukłoniwszy się raz jeszcze, zaczął wypełniać złotem i srebrem ogromne kieszenie swjej kapoty i wory które przyniósł ze sobą. Tak je wylaadował, że ledwie mógł się obrócić.

Już świtać zaczęło, a nasz szlachcic nie przestawał garściami ściągać złoto; w ostatku, nie mając go gdzie chować, począł sobie w gębę sypać, a że miał nie-małą, nasypał dosyć, i znowu ukłoniwszy się pierzastemu stróżowi, wyszedł z lochu.

Zaledwie stanął na progu, kiedy drzwi się same zatrzasnęły i ucieły mu całą piętę. Kulejąc a krwią znacząc ślady kroków swoich, przeladowany skarbami, dobywając ostatków siły tak dawniej potężnej, ledwie doszedł do swego dworku.

Upuścił na podłogę złoto i srebro, wypuł z napechanej gęby, a sam padł wysiłony i chory. Odtąd miał dużo pieniędzy, ale stracił zdrowie. Przeszekał krótkie już życie, i gdy w kłótni o miedzę graniczną wyzwał sąsiada, szlachcic ten, którego dawniej jednym palcem obalał *Siwy-Boruta*, pokonał bogacza i zabił.

Dworek jego stał pustkami, bo nikt go zamieszkać nie chciał. Diabeł *Boruta* odtąd często przesiadywał w starej wierzbie co na podwórzu rosła, zład od-widział także izbę i alkierz, zabierając i przenosząc pozostałe skarby napowrót do lochów zamku łęczyckiego.

(Dokończenie nastąpi).

(*) W pobliżu tumu, w błotach niemal samych, stoją prostokątne okopy, zwane w tej okolicy *okopami szwedzkimi*. Zwidzieliśmy je kiedyś i przekonaliśmy się, że to jest cmentarzysko z czasów słowiańskich; pod względem bowiem strategicznym nigdy za szanice ani baterie służyć nie mogły. Jakoż przy bliższym badaniu pokazało się, że w dawniejszych latach wydobywano z tego okopiska urny z przepalonymi kośćmi, a przy nich szczątki ozdób do stroju i okrucy starodawniej broni.

(Przyp. autora).

KILKA SŁÓW O NASZYCH SŁUŻĄCYCH.

W epoce w której żyjemy występują szybko (za-przeczyć temu niepodobna) jedne za drugimi zadania i potrzeby, nawołujące do pracy. Wieleż to z tych wyobrażeń, pojęć i zamiarów, co kilka lat temu zaledwie chaotycznie powstawały w pojedynczych umysłach, niespokojnie poruszały pojedyncze serca, dziś wystąpiło jasno, wyraźnie, stało się przekonaniem, faktem, uznaną potrzebą. Dziś nie dziwno nikomu, gdy podejmujemy jeden lub drugi z tych faktów, jedną lub drugą z tych potrzeb, i nad pracą do której te fakty i te potrzeby nas obowiązują, wspólnie radzić usiłujemy, przynosząc spostrzeżenia, uwagi i myśli, jakie każdy w swym kąciek uzbierał zdołał. Radzimy o szkołkach i nauczycielach wiejskich, o czytelnicach rzemieślniczych i pismach ludowych i tym sposobem przynajmniej rzeczywistość i ważność obywateli potrzeb umysłowych u ludu wiejskiego i rzemieślniczej klasy. Temi usiłowaniami i mniej lub więcej szczęśliwymi na tym polu pomysłami, dowodzimy że rozumiemy ducha czasu i że nie chcemy głuszyć jego głosu po dawnemu obojętnością i lenistwem. Lecz oprócz wielu innych, do tej skwapliowości w uznaniu potrzeb z ducha czasu płynących, jeszcze nam jednej rzeczy potrzeba: uznania i przekonania, że ten duch czasu wszystkie bez wyjątku warstwy naszego społeczeństwa cechuje właściwym obecną chwilą piętnem, że wszędzie budzą się umysłowe potrzeby i że nam w każdym kierunku otwiera się pole nowej pracy, nowych usiłowań.

Znaczną między innymi warstwę społeczeństwa stanowią służący nasi. Mamy tysiące dowodów na to, że i oni dziś więcej niż przedtem poczuwają się w swą ludzką godność, że dziś wyraźniej niż kiedykolwiek *łakną światła* i wołają o nie na nas, cośmy ich w oświeceniu wyprzedzili. Dzięki postępowi wyobrażeń, nie potrzebujemy dziś silić się na liczne i wymowne dowody, że to światło im się należy. Ogólne prawie usposobienie i przysposobienie umysłów, ułatwia nam wzajemne porozumienie się i upraszcza logikę. Zaczynają poczuwać w sobie godność ludzką — należy nam przeto radzić nad tem, jak tę godność uszanować i drugich do uszanowania jej przywieść. Chcą światła — należy nam więc obmyśleć środki, któreby im nabycie jego ułatwiły. I o tych to właśnie pilnych i żywotnych rzeczach, pozwolimy sobie dziś słów kilka powiedzieć. Za punkt wyjścia bierzemy obecną tylko chwilę, nie wspominając dlaczego ta chwila przyszła tak późno. Już nie obarczamy się wyrzutami za to, żeśmy dotąd godność ludzką tak często zapoznawali, a potrzeb umysłowych rozbudzić nie umieli. Jeżeliśmy nie nie zrobili żeby tę chwilę przygotować, to teraz przynajmniej, kiedy przyszła, starajmy się z niej skorzystać i to czego od nas wymaga wykonać.

Za poczuciem godności idzie pragnienie światła, i nawzajem dążenie do światła rozwija i kształci uczucie godności.

Jakie przeskody, w obecnym urządzeniu stosunków i rozkładzie pracy, napotykać może rozwinięcie owego uczucia i nabywanie światła, wykazać to bierzemy sobie za zadanie.

Dotąd jeszcze, z małym bardzo wyjątkiem, stosunki te i obowiązki są urządzone w taki sposób, że wszystkie warunki powszedniego życia składają się na słabienie godności ludzkiej w służących naszych, wszystkie, mianowicie na służbę kobiecą, najfatalniej oddziaływać muszą. I tak:

Przy rozkładzie pracy i czasu w naszych domach dotąd nie mamy żadnego względu na indywidualność charakteru, usposobienia, uzdolnienia lub ujemności służących naszych; robimy ich zależnymi nie od wygody, bo ta warunkuje się właśnie rozumem urzędowaniem czasu, ale od kaprysów, niehumorów naszych, lub drobiazgowego, rzeczywiście nam niepotrzebnego, a dla nich poniżającego dozoru. Trzymamy się przestarzałego zwyczaju kontrolowania ich na każdym kroku. Żadnej czynności nie dozwalamy obmyśleć samodzielnie, kolej zatrudnień urządzić ze względu na ich i naszą wygodę. Ta zawisłość każdorazowa, nie przyczynia się bynajmniej do żadnej rzeczywistej dogodności, nie jest może nawet skutkiem żądzy panowania, lecz prosto wynika z nalogu. Taki tryb postępowania, powtarzamy, z nalogu przez nas utrzymywany, zabija samodzielność, tępi zdolności, usypia ambicję, poniża godność. W miarę właśnie jak ambicja się podnosi, a uczucie godności rozwija, służący każdy stara się robić jaknajprędzej i jaknajlepiej. W kontrolowanym zaś, podglądanym, sfukancym, budzą się uczucia niechęci i nienawiści. Wydzielić robotę i zatrudnienie należy, wymagać jaknajdokładniejszego téjże roboty wykonania jest obowiązkiem; ale uszanowanie godności nakazywałoby poprobować,

jak się téż każdy weźmie samodzielnie do wykonania swjej pracy, jakie w tém wykonaniu rozwinięć wla-dze, zdolności, przymioty, jakie wykaże ujemności, a nawet dodamy, jakich dowiedzie upodobań. Każdy człowiek ma prawo w tém co robi objawiać indywidualność swoją. Przeszkadzać mu w tém, jest albo rozmyslnym grzechem, albo grzechem bezzwrotności. Gdybyśmy téż raz spróbowali np. (że zejdziemy do drobnych szczegółów praktycznego życia), gdybyśmy spróbowali raz, czy służąca niesfukana za późniejszy powrót z miasta, nie pośpieszy za to i nie uprzątnie pokoiów w krótszym niż zwykłe czasie; czy jeśli się dłużej nad porządkiem zabawiła, nie nadała czasem temu uporządkowaniu jakowś cechy swego indywidualnego upodobania i estetycznego uczucia; czy mając do czego dążyć, naprzykład do własnej nauki, nie pośpieszyłaby sama z wszelką robotą, bez chwilowego nadglądania; czy w dowolnym rozdzieleniu czasu i kolej zatrudnień nie poszła czasem za zmysłem praktyczności, wyżej u niej niż u nas rozwiniętym. W każdej z tych okoliczności wygoda nasza rzeczywiście nieby straciła, a oszczędzenie niesłusznego połajania, przyczyniłoby się do rozwinięcia owego pożądanego uczucia godności.

Sławimy z zazdrością wygodę usługi za granicą. Zastanówmy się sumiennie i uznajmy, że inaczej urządzone stosunki między usługującymi a żądającymi usługi, wpłynęły tam właśnie na podniesienie drugich, na wygodę pierwszych. Nie wspomniemy już nie o owych praktycznych urządzeniach, nieskończenie ułatwiających i uproszczających usługi, na jakich u nas zbywa. Nie będziemy się rozwodzić nad tem, ile za granicą oszczędzają czasu owe powszechnie po kuchniach urządzone kurki i rynny, owe roznoszone po domach obrane jarzyny, oprawione ryby, przysposobione drobne i mięso, owe wspólne pralnie i tysiączne inne dogodności. Zaprowadzenie tego wszystkiego niekoniecznie zależy od tych, którzy, mimo braku tych wszystkich rzeczy, stosunek swój ze służącymi koniecznie w wielu rzeczach odmienićby powinni. Jakóż różnica między nami a zagranicą nietylko leży w tych zewnętrznych urządzeniach, ale leży także w samym służących do państwa stosunku. Francuzka „Bonne“ robi dziesięć razy więcej od naszej służącej, raz dlatego że wszystko ma ułatwione i wszystko pod ręką, powtóre dlatego że inaczej postawiony stosunek, dozwala jej rozwinąć samodzielność, zdolność i praktyczną umiejętność. Ma wyznaczoną swoją „besogne“, wie że im prędzej ją ułatwi, tém prędzej pozyska wolne godziny, których użyć będzie mogła jak się jej podoba; uwija się więc i robi wszystko z kolei, choć jej nikt nie dogląda, nie dozoruje, nie kontroluje i nie łaje. Jej zwinność i pośpiech mają za przyczynę praktyczne rozwinięcie i uzdolnienie, za cel niezależność na resztę dnia, a bodźcem do dokładnej i porządnej pracy jest ambicja i poczucie własnej godności. Dlaczego je tam znajdujemy? Bo je tam rozbudzone, kształcone, rozwijano i oddawna uszanowano. Dlaczego u nas niema powszechnie w służących ambicji, sumiennosci godności? Bo nasze służące zewsząd otacza kapryśny despotyzm, brutalstwo, lub w najlepszym razie lekceważenie. A z owym despotyzmem, brutalstwem lub lekceważeniem, spotykają się one na każdym kroku, tak w domowych, jak w po za domowych stosunkach. Powiédźmy najpierw o domowych.

Pomieszczenie dla służących, nie obmyślane ze względem nie mówimy już na wygodę, ale na samą przystojność; wystrzeganie się widoczne lub jawne ich podejrzywanie bez najmniejszej delikatności; ton podniesiony w potoczną nawet mowę; wydzielanie jedzenia w formie wstręt budzącej; brak baczności na zdrowie; obdziałanie dziewcząt świecidlami lub zużytemi gałgankami, — wszystko to są grzeszki powszednie, drobiazgi. Ależ te powszedniości i te drobiazgi składają się na atmosferę tém zgubniejszą, że się codziennie oddycha, a godność nie ostoi się tam właśnie, gdzie co dzień i co chwila zapożyczana bywa. A gdybyśmy od tych drobiazgów odstępując, ważniejszych teraz dotknęli rzeczy; gdybyśmy, wytykając zbyt drobiazgową kontrolę w rzeczach własnej dogodności, przypomnieć chcieli brak rozumnej, chrześcijańskiej opieki, zdala i nieznacznie, a przecież stale i wytrwale osłaniającej od zepsucia i strzegącej moralności!... Tymczasem, wyznajmy to ze wstydem, względ ten po największej części podrzędne u nas trzyma miejsce i dotąd po dawnemu daleko prędzej gotowiśmy tolerować zepsucie, niż brak uległości, powolności lub zaniebawanie w służbie.

A kiedyś już zepsucia i moralności dotknęli, pozwolimy sobie powiedzieć różne rzeczy, co nam na sercu oddawna leżało, a które nas już w stosunki po za domowe, równie dla służących naszych zgubne, wprowadza. Mamy na względzie głównie nasze słu-

żące kobiety, i o nich to mówiliśmy powyżej, że spotykają na każdym kroku brutalstwo lub lekceważenie, przed któremi godność ludzka i duma kobieca cudem chyba ostaćby się mogły. Brutalstwo cechuje tę właśnie część ludności miejskiej, z którą służąca musi być w najczęstszym stosunku. Przypuśćmy że między służącymi nie każda od początku jest bezambitną i bezwstydną, że niejedna z uczciwego rodzicielskiego domu przybyła do miasta na służbę, ma pragnienie poszanowania, instynktowe w każdej niewieściej duszy. Prosimy zapytać, co taka nowicjuszka posłysz w mieście od rzeźnika kupując mięso, które pani czasem po kilka razy odnosić i oddmieniać każe? co posłysz od przekupki, u której radaby jaknajtańiej jarzynę stargować, by połajania uniknąć? Świadczymy się prawdziwymi faktami, jak nieraz w porządnym nawet sklepie lub znaczniejszym składzie traktują służącą, która o lepszy towar się upomni albo o wymianę pieniędzy poprosi. Staramy się pisać spokojnie i hamować mimowolne uniesienie, ale najspokojniej właśnie i bez uniesienia; zapatrując się na te rzeczy, przyznać trzeba, że uczciwa dziewczyna, raz jeden poszedłszy do miasta, bez poniżenia swjej kobiecej godności nie wróci. Każdy wyraz posłyszany przez nią jest obelgą, każde obejście zniewagą wymierzoną na odarcie biednej duszy z jej uczciwych instynktów. Widziałam dziewczęta gorzko płaczące po takiej pierwszej próbie, widziałam i takie, którym się to podobało i u których rozwijało pewien rodzaj oryginalnego dowcipu: nad jednemi i nad drugimi serceby się zakręcać powinno.

Czy na zapobieżenie temu jest jakiś praktyczny sposób? Znalazłby się niejeden zapewne, gdyby kobiety wykształcone, gospodynie i naczelniczki domu, poczuły się do szerszej solidarności z temi kobietami, co dzień i co chwila na zniewagę wystawionemi. Znalazłby się sposób, gdyby się znalazło szczerze oburzenie; znalazłoby się oburzenie, gdyby panie w poniżeniu służących swoich poczuły ubliżenie swjej własnej niewieściej godności. Pośrednim sposobem byłoby gorliwie przyłożenie ręki do podniesienia mass; bezpośrednim i obowiązującym środkiem strzeżenie ich od obelg wszelkiego rodzaju, przyjmowanie już raczej mniej pięknego mięsa lub droższej jarzyny, niż wystawianie służącej na brutalstwa przekupki, rzeźnika, albo na lekceważenie w większych zakładach i sklepach. Cóż naturalniejszego nad to, że gdy niema żadnych usiłowań, by odwrócić fatalność poniżających wpływów, by z drugiej strony wpłynąć czémkolwiek na podniesienie umysłów, umysły te nietylko nie podnoszą się, nie kształcą i nie rozwijają, ale przeciwnie nikczemnieją.

Niejedna tedy z uczciwych z początku dziewcząt, skutkiem tych i rozmaitych innych okoliczności, dochodzi do ostatniego poniżenia, do rzeczywistego i bezpowrotnego upadku. Za upadek ten nie ona jedna zapewne odpowiadać będzie. Nie mówimy jednak teraz o upadłych, lecz mamy na myśli te, które nie będąc spodlonemi i upadłemi, błędów dopuścić się mogły; mamy na myśli jak w innych stosunkach i okolicznościach błąd jeden mógłby być jeszcze odkupionym i pocziwem wynagrodzony życiem, a jak przeciwnie przy obecnych stosunkach prawie koniecznie pcha służące nasze na drogę upadku, stawiając je w warunkach poniżających i do reszty dumę kobiecą zacieraających. Jeżeli na przykład taka nieśczęśliwa ofiara chwilowego zapomnienia (a ileż okoliczności do tego zapomnienia przywieść może) dostanie się do szpitala; czyż tam uszanują biedną, uwiedzioną, lecz jeszcze może uczciwą kobietę? Ileż grubiańskich dowcipów, ile słów lekceważących, ile spojrzeń urągających napotka około siebie! A nietylko ona, lecz każda, choćby bezwinna, towarzysząca, co przyjdzie ją odwiedzić, chwilowo staje się uczestniczką tego obejścia, na które instynkt niewieści oburzać się musi.

Dotknęliśmy zaledwie kilku najjaskrawszych uchybień i najbardziej rażących braków i przyczyn zepsucia tego rodzaju, jakie nie chwycą się natury uzacnionej, wyrobionej i podniesionej. A więc co téż robimy dla uzacnienia klasy służących naszych? Jakiego zasiłku udzielamy ich duszom? Co im dajemy na orzeźwienie, uszlachetnienie serca, na światło umysłu, na pokarm wyobraźni? A jednak nieraz wszystkie te władze, rozbudzone ocieraniem się koło umysłowego życia, pokarmu łakną, pozbawione zaś one-go, tępiją, usypiają i znikczemniają dusze.

W stosunkach służących do państwa, takich jakie są dziś, nie nie kształci w nich serca, nie uczucia uczucia. Wyrwani z rodzinnego koła, pozbawieni przyrodzonych serca związków, dla bezwyjątkowej prawie nieumiejętności niezdolni pismem znosić się z rodziną, nie ujęci za serce w domu w którym służą, w czémże wykształcenie serca znaleźć mogą? Władza

uczucia tedy, pozbawiona żywiołu, zwiędnąć musi, lub przedrzeć się w brudne, samolubne żądze. Niech nam wolno będzie raz swobodnie w tym przedmiocie się rozgadać, nie pomijając i drobniejszych, położyć nacisk na to, co zwykle pomijane bywa. Otóż to osamotnienie serca, ten brak rodzinnych uczuć, wydają nam się przyczyną niejednego złego. Na to byłby środek łatwy i podręczny: obznajmiać się ze stosunkami rodzinnymi służących naszych, mówić z nimi o oddalonych, zastępować ich w pisywaniu do nich, ułatwiać przestawanie z obecnymi, słowem: powagą własnego uznania zatwierdzać świętość tych związków. Wyznajemy szczerze, iż nam osobiście sposób ten okazał się praktycznym i przyniósł niejedną pociechę serdeczną, że pozwolił nam zasięgnąć niemało światła co do potrzeb i usposobień rozmaitych warstw społeczeństwa. Sposób ten, stawiając nas, skutkiem uzyskanego zaufania, jako pośredników i tłumaczy owych uczuć rodzinnych, ułatwiłby zarazem wpływ nasz moralny na klasę służących, tém skuteczniejszy, im mniej znaczny.

Umysłowego pokarmu już się dziś dopominają, więc należy im go podawać. Potrzeba ta lada chwila u ogółu pozyska uznanie, a za uznaniem pójdą środki, otworzą się drogi, rozpoczyna się ogólne, publiczne usiłowania w niesieniu oświaty służącym naszym. Nam w tej chwili idzie tylko o przygotowanie umysłów i urzędowanie stosunków domowych tak, aby one owym ogólnym usiłowaniami przeszkód nie stawiały, lecz owszem dzielną pomoc wniosły. Wierzmy że światło zjedzie, że nauka przystępna i stosowna się znajdzie; ale idzie nam o to, żeby wcześniej rozpatrzyć się w urzędowaniu domowej posługi i zaoszczędzić chwile, co tej nauce mają być poświęcone. Tu znów w przypominieć musimy, że najprzód dla nabywania nauki, potem dla korzystania z niej, potrzeba konie-

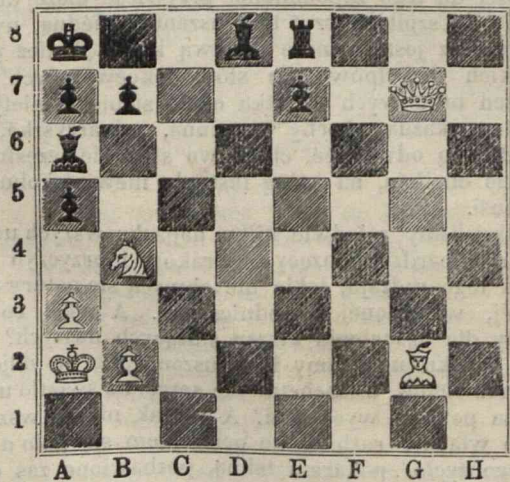
SZACHY.

(S. M. z Płońska).

ZADANIE CII.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



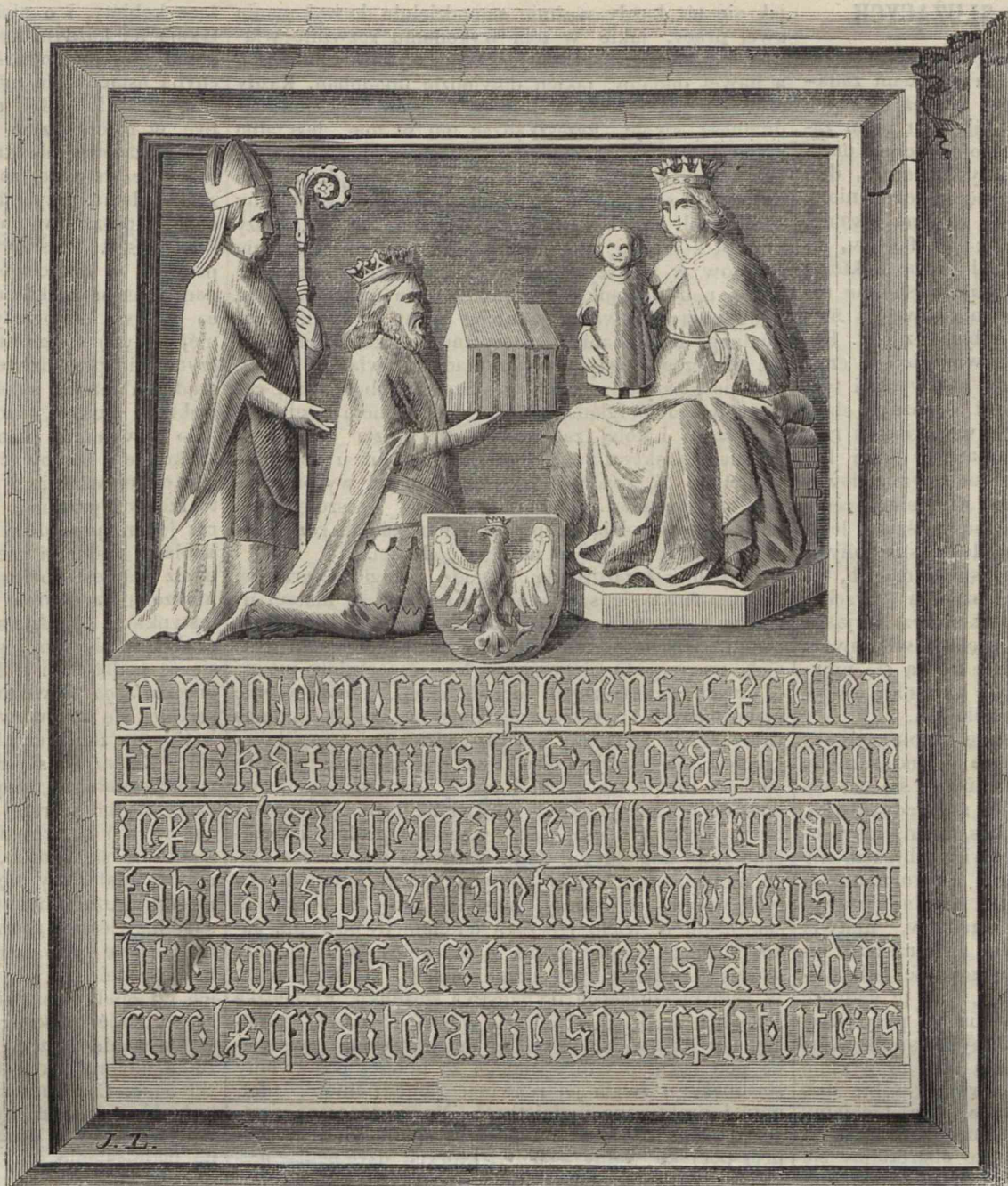
Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 401.

Białe.

Czarne.

- | | |
|----------------------|--------------------|
| 1) C7 — E8 | 1) G5 — H4 biorąc. |
| 2) G3 — G4 | 2) H4 — H5. |
| 3) B5 — E2 | 3) F3 — E2 biorąc. |
| 4) F2 — F4 + i mat. | |



TABLICA EREKCYJNA W KOŚCIELE WIŚLICKIM. (Rysował z natury Lewicki).

cznie służącym naszym dać parę godzin codziennych i niezależnych. Dziś może nam się wymaganie takie trochę dziwnym wydać; lecz rozejrzyjmy się, wiele to pomysłów, przed niedawnymi czasami za dziwaczne okrzykniętych, dziś weszło w życie, a nawet już błogie owoce przynosić zaczęło! Zresztą odwołujemy się znowu do owęj zazdrośzonej zagranicy; tam właśnie tak, a nie inaczej się dzieje.

Służąca, załatwiwszy zatrudnienia domowe, przyjmuje u siebie znajomych i przyjaciół, wychodzi do nich, słowem rozporządza czasem jak jej się podoba. Mamy wskazówkę niejedną, mamy najsilniejsze przekonanie, że w obecnej właśnie chwili służący nasi zechcą używać wolnego czasu na naukę, skoro tylko możliwość tej nauki się znajdzie. Obowiązkiem przeto pań domu będzie znaleźć właśnie ten czas wolny, choćby z początku, przy braku wprawy, z ofiarą jakiejś dogodności lub przyjemności. Nim zresztą się objawia te pożądane ogólne, publiczne usiłowania, godzi się nam i pojedynczo uwzględnić potrzeby chwili i ułatwić choć niedostateczną, zawsze przecież pomocną domową naukę.

Przy dobrej obustronnej woli, znalazłaby się codziennie prawie jaka godzinka, któraby na pogadankę i czytanie z służącymi użytą być mogła; a raz popróbowawszy, możebyśmy się sami zdumieli nad ich łatwością pojmowania, trafnością sądu i prawdą spostrzeżeń, nadewszystko zaś, czego dosyć napowtarzać się nie możemy, nad żądzą światła. Tu znów opieramy się na faktach, które każdy najłatwiej sam sprawdzić może. Spotykamy (i nie my jedni zapewne) codziennych służących obojg płci, ludzi dorosłych, po całodzienniej pracy, około północy otwierających elementarze i przy niedopalonym knocie od świecy składających niezmordowanie literę, a z wdzięcznością niewypowiedzianą pomoc w nauce czytania przyjmujących.

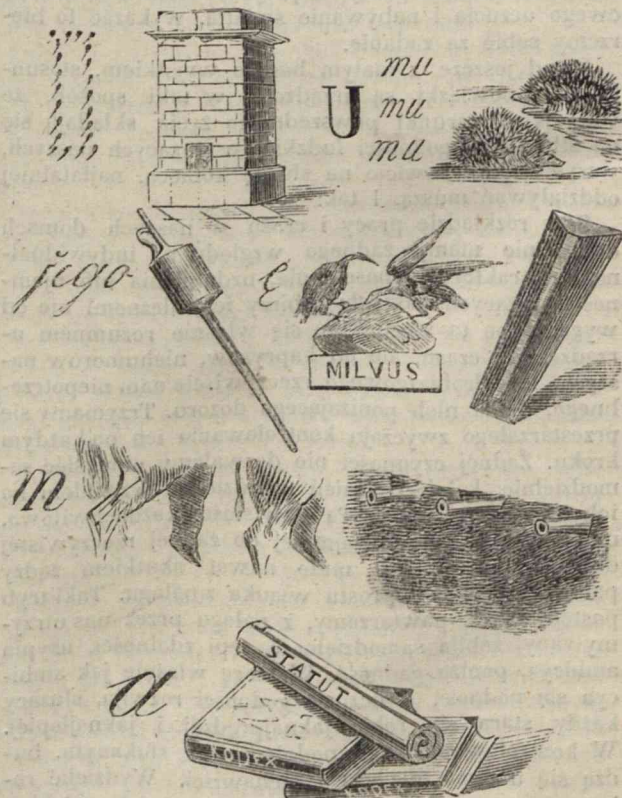
Co ma stanowić treść takiego czytania, takich pogadek? Wszystko co umysł słuchaczy objąć jest zdolny, bo to nam się wydaje jedyną prawdziwą miarą w udzielaniu światła; wszystko co może uza-

nić serce, uszlachetnić myśl, dostarczyć godziwego i pięknego żywiołu wyobraźni; wszystko co pobudzić zdoła do ćwiczenia każdą z władz duszy, z których żadna na zmarnowanie nie dana. W szczegóły wdawać nam się trudno: dobra wola, instynkt, doświadczenie, najwłaściwszą drogę wskażą. Przy dobrej woli, mimo ciągłego jeszcze braku książek stosownych, znajdzie się słowo żywe i pisane, znajdzie się wskazówki jakie książki pisać, znajdzie się przedmiot odpowiedni, do którego, jak do kamertonu, dostraja się wszystkie struny duszy. Poprobujmy tylko jak umiemy, a będziemy umieli coraz lepiej. Żadne wysilenie dobrej woli nie zostaje bez wynagrodzenia, żadnej próby z miłości podjętej Bóg nie zostawia bez światła, żadna posługa około dusz bliźnich, dla naszej własnej duszy bezowocu nie przemija. Przyjdzie czas... że zrozumiemy wszyscy, iż to co dziś nazywamy dobrodziejstwem i wdzięcznością, prostą jest tylko zamianą, wzajemnym wzbogacaniem się i wspólnym ułatwianiem sobie drogi ku pozyskaniu światła, szczęścia i zbawienia. Z. I. A.

TABLICA EREKCYJNA W KOŚCIELE WIŚLICKIM.

Był zwyczaj w dawnych wiekach, iż przy stawianiu lub odnawianiu kościołów, albo też innych budowli, umieszczano w nich niekiedy tablicę pamiątkową, datę założenia gmachu, a czasem i fundatora onego wskazującą. Takie tablice erekcyjne, oprócz napisu, mają często wyrzeźbione na sobie liczby, a niekiedy także wizerunki w całej postaci założycieli lub świętych, pod wezwaniem których kościół był poświęconym. Takich tablic erekcyjnych znamy dotąd w samem królestwie przeszło dwadzieścia, a wiele z nich są ważnymi zabytkami starożytności, nawet pod względem sztuki godnymi ze wszelkich miar poznania. (Ob. Dod.)

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 428. Przed okiem sprawiedliwości czasem łotry się kryją. (Dodatek).

Do celniejszych pomiędzy niemi liczy się tablica erekcyjna kościoła wiślickiego, którego wizerunek i opis podaliśmy już w Nrze 43 Tygodnika Ilustrowanego. Cała z kamienia, umieszczona jest zewnątrz w prawej ścianie nad bocznymi drzwiami i otoczona ramą z marmuru czerwonego. Na górnej jej części, w wypukłej płaskorzeźbie, przedstawiona jest Matka Boska piastująca Dzieciątka Jezus; przed nią klęczy w majestatycznym ubiorze król Kazimierz Wielki, trzymając w ręku kościół wiślicki; u nóg jego tarcza z orłem herbowym państwa; za królem stoi biskup w ubiorze uroczystym. Dolna część zawiera w sześciu wierszach wypukło wyrobionych gotyckimi głoskami, które początkowo były złocone, następujący napis w skróconych wyrazach:

Anno Domini MCCCII (1350) princeps excellentissimus Kazimirus secundus, Dei gratia Polonorum rex, ecclesiam sanctae Mariae Vislicensis quadre fabricavit lapide; cujus beneficii memor clerus vislicensis et populus decus sui operis, anno Domini MCCCCLX quarto (1464) aureis inscripsit litteris.

Cała ta rzeźba dokładnością dłuta odznaczająca się, niewątpliwie dzieło znakomitego artysty, pokryta była kiedyś stosownymi kolorami, które czas już gdzieś niegdyś splukał, na sukniach atoli dotąd pierwiastkowa barwa została.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTRowanego.

Z pod Opatowa, w końcu lutego 1862 r.

Miły Boże! jakże to czasy teraz się zmieniły. Gdym przed rokiem jeszcze odwiedzał jednego z moich znajomych, właściciela niewielkiej ale pięknej wioski pod Opatowem, zacny gospodarz witał mnie na progu, wiódł do swej żony i przedstawił domownikom, nie dając się nawet otrząść z śnieżystej powłoki. A dziś, kiedy zadzwieczał dzwonek moich sanek przed tym samym dworkiem, zamiast gospodarza, ukazał się na progu młody lokajczyk, widocznie zdziwiony przybyciem gościa o tej porze, w dzień powszedni.

— Jest pan w domu? pytam.

— Jest, ale w stodole przy młóce.

Uderzyło mnie to niemało: znajomy mój bowiem zwykle zimową porą wyręczał się oficjalistą w stodole.

— A pani? rzuciłem pytanie.

— Pani jest także, ale w czeladnej...

— To zapewne zaraz powróci?

— Nie wiem, proszę pana, bo zwykle nauka trwa do piątej... dam znać że goście.

— Nie! prowadź mnie raczej do pani, odparłem, ciekawy tej nauki.

Ścieżką wydeptaną na białym kobiercu śnieżnym, doszliśmy wkrótce do folwarku. Czładnia, była to czysta i widna izba; zwykłe stoły i zydle świeciły się białością, a na nich rzędem siedziały dziewczyny i chłopcy. W rogu izby spostrzegłem nareszcie dzie-dziczkę, a przy niej dwóch malców sylabizowało na elementarzu. Wejście moje przerwało na chwilę naukę; po pierwszych jednak powitaniach, gdym prosił gospodyni aby nauka odbywała się dalej, dzieci kolej-ką sylabizowały, czytały, liczyły, mniejsze zaś ukła-dały wyrazy z ruchomych liter, co mianowicie nader je zajmowało. Całe obejście tego drobiazgu, pełne przyzwoitości, niezmiernie mnie zdziwiło i zarazem ucieszyło. Po skończonej nauce, dzieci klękły szereg-giem, dla odmówienia krótkiej modlitwy i odśpiewa-nia pieśni wieczornej. Darujcie mi, muzykalni czy-telnicy, ale głosy te dziecinne, niepełne, jakoś dzwię-cznie płynęły w moje ucho, i zdawało mi się, że po czeladni, nad płowemi główkami dzieci chłopskich, Duch Boży przewiewa.

Prosty to obrazek, może dziś już w każdej niemal wsi spotkać się z nim można; ale na mnie wywarł on przecież silne a nowe wrażenie, i wrażenie to powtarza się zawsze z równą mocą, ile razy widzę idee oświaty ludu w czyn zamienioną.

Tymczasem, bez uniżoności, lecz z uszanowaniem połączonem z ufnością, żegnała dziatwa swą nauczy-cielkę, a i ja, obcy przybysz, tużurkowiec, nie robi-łem już na nich tego wrażenia strachu co dawniej, gdym ich żadnym sposobem do siebie zwabić nie mógł.

— Powinszować pani pracy... odezwałem się, gdy-śmy opuścili czeladnię. Widzę z pociechą, że u nas teraz między zamiarami a czynem coraz ścisłejszy so-jusz następuje.

— Nie chwał nas pan, bo obrażasz. My spełniamy swój obowiązek tém chętniej, że trudy prędkim od-wdziedzają się plonem. Nie uwierzilibyście, wy mie-szczuchy, z jakim zapalem, od najmłodsze do naj-

starszego, lud nasz wiejski rzuca się do nauki. Jest to gorączkowość spragnionego, który zakosztowawszy napoju, chciałby do dna wychylić czarę jaknajprę-dziej. Dzieci klas wyższych, wypieszczone, rozbała-muczone, rozpróżniane, odznaczają się zwykle upo-rem i niechęcią do nauki, czego w żadnym z chło-piątek nigdy dopatrzyć nie mogłam. Co więcej, nauka początkowa, sama z siebie trudna, przykra, zajmuje niezmiernie tych malców, i nie widziałam jeszcze ani razu, aby okazali znużenie lub niechęć. A przecież zdarza się nieraz, że do nauki przychodzi dziecko po kilkogodzinnej pracy rannej, cięższej nad drobne je-ge siły, nad wiek; ci nawet, którzy w ciągu dnia nie mają czasu przybywać na naukę, biegną tu chę-tnie wieczorem. Nie odstrasza ich ani śnieg, ani nie-pogoda od przybycia w naznaczonym czasie na naukę.

— Pocieszające to rzeczy opowiadasz mi pani; lecz zawsze dzięki należą się wam za podjęte trudy...

— Czy sądzisz pan że to tak wielkie poświęcenie? Wcale nie! wydaje się ono tylko wielkiem z pozoru. Gdy się urodził projekt uczenia dzieci włościan wsi naszej, mąż długo się nad tém namyslał i rozmaite tworzył plany. Pragnął założyć formalną szkołę; do tego więc trzeba było najprzód stawiać budynek, da-lej starać się o nauczyciela, o jego uposażenie, do czego mieli się przyłożyć włościanie, a w czem tru-dność nowa, bo wówczas lud nie był jeszcze prze-budzony z letargu i nie okazywał żadnej chęci do ofiar. Tak przeszło ze dwa miesiące na projektach, odkładaniach od dnia do dnia, i wszystko byłoby się pewno na tém skończyło, gdybyśmy nie postanowiły na swęj kobiecęj radzie, aby nie czekać dłużej na szkołę i nauczyciela, ale samym wziąć się do nau-czania w czeladnej.

— Najzupełniejszą miałyscie panie słusność, tém więcej, że jak nateraz, w niewielkich wioskach tru-dno utrzymać szkoły; ja zaś z zasady jestem za nau-czaniem po dworach, mianowicie kto wolniejszy od zatrudnień gospodarskich. Lud bardzo wiele zyskuje na tém, a i wpływ nasz na niego zapewniony jest tą drogą, lepiej niż inną.

— Jeżeli tylko na tej drodze wytrwamy i wielka sprawa oświaty ludowej nie przyczyni się, tak jak mnó-stwo innych, z razu z takim hałasem podnoszonych.

— To już podobno nastąpić nie będzie mogło. Spra-wa ta niezawodnie przejdzie niejedną fazę, przekształ-ci się, ale nigdy nie upadnie. Z rąk dworów, dosta-nie się w ręce nauczycieli wiejskich, lecz już nie straci swego charakteru, jaki wycisną na niej ci, któ-rzy pierwszą do tego myśl rzucili.

— Niech się sprawdzą słowa pana i niech wszy-scy znajdą w sobie siłę do przeprowadzenia dzieła. Z ludem nietrudną będzie sprawa, gdyż po przela-manii pierwszych lodów, usunięciu pierwszych prze-szkód, dalsze kroki idą łatwiej i szybciej. I my mie-liśmy zawady w namówieniu włościan, aby na bez-płatną naukę przysyłali swe dzieci; opór ten niela-two przyszłoby pokonać, gdybyśmy sami nie byli zwerbowali parę chłopaków i dziewcząt i nie namó-wili ich do nauki. Toż samo było i z Kmiotkiem, którego prenumeratę chcieliśmy aby sami włościanie pokryli, nie dlatego aby nas ta drobna ofiara zrażała, ale dla wdrożenia ludu naszego do obowiązku, dla pokazania mu że wiedza darmo nie przychodzi, że ponieważ kosztuje, więc się i cenić powinna. Ileż to narad oni odbyli, ileż to wymowy zużytkować trzeba było, zanim uzyskaliśmy zgodę! A dziś sami przy-chodzą dowiedzieć się czy im już na poczie przy-szedł Kmiotek? czy mogą odebrać go do odczytania? Jedna bowiem z wiejskich kobiet umie czytać, czego się nauczyła w Szewny, gdzie szkoła istnieje już od lat kilkunastu, pod ścisłym nadzorem miejscowego proboszcza.

— W tej okolicy, jak widzę, niema wsi gdzieby czegoś dla oświaty ludu nie zrobiono, uczynilem uwagę.

— Zapewne że wszędzie z niewielką trudnością dałoby się coś podobnego uskutecznić, ale nie wszę-dzie widać miano czas na to. Jak pojedziemy w są-siedztwo do księdza kanonika, pokaże on panu swe szkolki, jedną w Grocholicach, prowadzoną przez miej-scowego organistę, drugą w Bogusławicach. Zacny proboszcz ze swoich dochodów przykładą się do ich utrzymania, lecz i to nie wystarcza; wezwał przeto lud, aby dobrowolną składką przyszedł w pomoc szkolce. Idzie to dziś jeszcze twardo, lubo składkę oznaczono po złp. 5 i ćwierci żyta... zdaje się jednak iż boga-ty właściciel, ksiądz Drucki-Lubecki, jak tylko się dowiędzie o potrzebie wsparcia, pewno o tém pomyśli i dobrowolną, choćby drobną, ofiarą do utrzymania szkolki przyczyni się. Tę rzecz uważamy tu za pe-wną. W Szewny, jak wspominałam, szkoła istnieje oddawna, zaszkodziło jej tylko ułożenie osad włościań-

skich w kolonie. Więcej dzieci uczęszczało do niej, gdy wioska, sielskim obyczajem, stała skupiona; roz-rzucone na długiej linii osady nie sprzyjają ani życiu towarzyskiemu, ani szerzeniu się oświaty.

Na tej gawędce zszedł czas niejaki, aż zjawił się też nareszcie gospodarz.

— Przepraszam! przepraszam! wołał witając, zaję-cie w stodole zatrzymał mnie; ludzi trzeba było przy-pilnować samemu, gdyż dziś szlachcicom na jedną wiosce niepodobna i niepotrzeba trzymać ekonoma. Porządnemu człowiekowi należy, jak słusność każe, dobrze zapłacić, a ladaco trzymać niewarto. Ograni-czamy się więc na dobrych karbowych, tylko że ich trudno bardzo dostać, a dotąd nikt się ich kształce-niem nie zajmuje.

— Jak widzę oczekiwano zaprowadza się nie na zarty.

— Reforma stosunków włościańskich wszystko to za sobą pociąga. Dawniej potrzebowałem, ekonoma że-by na pańskie wypędził (styl malowniczy!), aby ludzi dopilnował; dziś z parobkami zaprowadziłem robotę na wymiar, a w roku bieżącym toż samo i z najem-nikami zrobię...

Rozmowę naszą przerwał służący, dając znać go-spodarzowi, że parobcy już przyszli.

— Ah! przebacz kochany gościu! parobcy przyszli, a ja obiecałem że po pracy przeczytam im powiastkę z Kmiotka. Takie kawałki nieraz tu ludziom naszym czytamy.

Weszliśmy do pierwszej izby... Kilkunastu parob-ków, po dzienniej pracy przy maszynach (młocarni) za-pylonych i zakurzonych, stało, oczekując przybieca-nego czytania. Po skończeniu powiastki *Laska zaczy-rowana*, jeden z nich zauważył, że w Kmiotku musi być jeszcze coś więcej, a oni chętnie i tego posłuchają. Przeczytano im więc *Kalendarz gospodarski* p. Fau-styna Świdzkiego, który im się niezmiernie podo-bał, z powodu powszechnie znanych przysłów. Pa-robcy podziękowali panu swemu za czytanie, a ura-czeni każdy szklanką piwa, rozeszli się do domu.

— Dziwisz się pan zapewne, rzekła mi gospodyni, temu nowemu zwyczajowi?

— Nie pani, nie dziwię się, ale serdecznie raduję z niego; zadowia mnie tylko ochota tych ludzi, cało-dziennym trudem spracowanych, a jednak tak chę-tnie słuchających.

— I nikt im tego nie nakazuje, sami się doprasza-ją o czytanie, odparł gospodarz.

Lokajczyk doniósł znowu, że Franek Niedbała z kil-koma innemi przybył i pragnie się widzieć z dzie-dzicem.

Natychmiast przywołano ich do pokoju. Skłonili się za wejściem nisko i oświadczyli, że Franek, mając się żenić, przychodzi prosić państwa o pozwolenie.

— A kiedyż będzie ślub? zapytałem, ciekawy we-sela sandomierskiego.

— Nasz dobrodziej nie daje kiedy indziej, tylko we środe, odrzekli.

Po odejściu ich, spytałem gospodarstwa, dlaczego proboszcz tylko we środe śluby daje?

— Wszyscy tu, widzisz pan, odrzekła gospodyni, pracujemy nad wykorzeniem pijaństwa w ludzie, a że okazują do pijatyk są wesela, po kilka dni trwa-jące tutaj, więc ksiądz kanonik, chcąc je ograniczyć, daje śluby tylko we środe. Tym sposobem wesele trwa przez czwartek, a kończy się z piątkiem, jako dniem postu. Udaje się to dobrze, bo lud ściśle po-sty szanuje; przystęp przed weselem pan młody mu-si proboszczowi złożyć złp. 30, że w piątek zabawy już nie będzie. Jeśli się do przyrzeczenia zastosował, pieniądze się mu wracają, w przeciwnym razie idą na szpital w Opatowie.

No, powiedzcie mi, łaskawi czytelnicy, czy nie miałem słusności utrzymywać, że czasy teraz się zmie-niły? Nauka ludu, oszczędność, odczyty, środki umiar-kowania pijaństwa, spotykały mnie dziś na progu szla-checkiego domku, jako zwiastuny lepszej przyszłości.

Zmuszony odchodzącą pocztą, nateraz rozstaje się z wami, zamawiając sobie uwagę waszą do przysze-głego listu, w którym pragnąłbym znowu podnieść kil-ka drobnych, niby powszednich szczegółów tutejszego życia, w nadziei że siła przykładu będzie ziarnem co padnie na urodzajną glebę i pożyteczny dla ogółu wyda owoc.

A.

Środa popielcowa w Sandomierskiem.

Środa popielcowa, ta chwila uroczysta dla mie-skańców stolicy i miast większych, jako kres pory zapustnej i przejście do żałoby poprzedzającej wielką tajemnicę odkupienia,—po wsiach, a mianowicie w San-domińskim jest dopiero pierwszym, choć i ostatnim.

dniem zapust, którego lud używa swobodnie, oddając się zabawie z ochoczą skwapliwością, cechującą uciechy włościan naszych. Gdy więc w miastach wesoły gwar, kipiąca życiem zabawa cichnie, na wsiach zapusty, w jednodniową chwilę zamknięte, wybuchają szaloną wesołością, wrą ruchem i gasną z zachodem słońca, lub też najdalej z pierwszym paniem koguta, tego żywego sioła naszych zegara. Popiół, znak pokuty, spada na głowy włościan dopiero w następną niedzielę... stary więc zwyczaj uświęca zabawy środowe, którym za przewodnika służy nie odległego podania. Rok rocznie przeto lud sandomierski, bez względu na pomyślną lub smutną dolę, w dniu popielcowym oddaje się zabawie z radością cziecka, które po długim zatrzymaniu w izbie, zdołało się wreszcie wymknąć na świat Boży. Stary zwyczaj ujął uciechę zapustną ludu w pewne formy, nadając jej charakter jakiegoś obrzędu z czasów pogańskich. Siła tej tradycji jest tak wielka, iż wszelkie wystąpienia duchowienstwa nie mogą jej wyrugować z pamięci ludu, ani nawet złagodzić i przemienić. Inaczej też być nie może i nie mogło; w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, gdy nowa wiara u samych jej opowiadaczy przyćmiona była zabobonem i ciemnotą, lud starał się łączyć dawne pogańskie zwyczaje z nowymi wymaganiami. Zmieniało więc czas obrzędów, stosownie do potrzeby, i naginano je do nowych pojęć, ale zawsze pierwotna myśl pozostała i dziś widoczną jest przy obchodach ludu wiejskiego.

W Sandomierskiem, jak powiedzieliśmy, środa popielcowa ma swój odrębny charakter, który przechował się pełniej i czystiej niż w innych okolicach, gdzie obchód stracił swą barwę i zmienił się w bezmyślną hulankę. Przypadek pozwolił mi w roku bieżącym przypatrzeć się bliżej zwyczajom środy popielcowej, i to w okolicy Sandomierskiego słynącej z tego rodzaju obrzędów.

Już pod wieczór we wtorek cudacko ubrani parobcy chodzą od chaty do chaty wiejskiej, wybierając jaja, kapłony i t. p. przedmioty, stanowiąc mające daninę dworowi. Nazajutrz, to jest we środę, wszelka praca od rana ustaje po okolicznych wioskach, a natomiast wysypuje się lud świątecznie przybrany. Ubiór ludu tutejszego, między Ostrowcem i Opatowem, na podnóżu gór Św.-Krzyżkich, cechuje owa powaga, szczątek panującego w całym narodzie gustu, przechowany dziś tylko w stroju włościan i Żydów. Długa granatowa sukmana, przypominająca kontusz, ze stojącym kołnierzem, obszyta po kilkakroć w koło sznurkami zielonego i czerwonego koloru, przetykanymi takimiż kawałkami, dobrze okrywa barczystego Sandomierzaka. Co wieś, to inny zwyczaj, inny strój; więc między granatem spotkasz i siwą sukmanę z samodziału, ale zawsze różnowzorzystymi sznurkami wyszytą. Pas rzemienny lub włóczkowy opina zwierzchnią odzież, pod którą kryje się krótki kożuszek, z zagiętym na niego kołnierzem koszuli spiętej krwawnikową spinką, jakich tysiące roznoszą Żydzi małych miasteczek; wielka barania czarna czapka, z tyłu rozcięta, przypomina owe sobolowe kołpaki, noszone przez pánujących nawet, co wyszli, jak i cały nasz naród, z łona rolników. Młodzi parobcy zachwytyją coś od Krakowiaków sąsiednich; stroją się w czerwone czapeczki, ozdobne szeregiem spiętych pawich piórek. Strój kobiety także niejednostajny: młode dziewczuchy spinają kibić gorsetem obcisłym i kwiecistym, starsze i poważniejsze noszą jubki granatowe bramowane futrem, a często podbite kożuszkiem. Na głowach wzorzyste chustki w zawój splecione, na wierzchu zaś białe płachty do przykrycia, spadające na ramiona, podobnie jak ubiory prababek naszych, jakich wzory na starych portretach widzieć się dają.

Ku południowi gromadki ludu kupić się zaczynają około karczem, mianowicie położonych przy drogach i więcej uczęszczanych; wtedy rozpoczyna się uciecha, przeplatana muzyką wiejską, tańcem i niestety! nieodłączną pijatyką. Do podochoconego zabawy i trunkiem tłumu, przybywa nareszcie zapowiadany *Bachus*. Tak dziś nazywają wystrojoną lalkę, którą parobcy obnoszą po całej wsi; lecz jak się ona nazywała kiedyś przed wiekami, któż to odgadnąć może? Że obnoszenie *Bachusa* mogło powstać ze zwyczaju pogańskiego, na podobieństwo saturnalijskie, każdy przyzna, kto ujrzy tę gromadę włościan obnoszących ustrojonego bałwanka. Zaszczyt towarzyszenia należy się różnym parobkom, którzy przybierają się stosownie do obchodu. Jestto rzeczywista wiejska maskarada. Najbrzydszy a zarazem najroślejszy chłop przebiera się za kobietę, dozgonną towarzyszkę *Bachusa*; drugi niski, z głupowatym wyrazem twarzy, trzymając ogromny drąg w ręku, udaje wójta gromady, i jemu należy się zaszczyt przemawiania, ile razy tego zachodzi po-

trzeba. Inny, suchy, z wielką torbą, pełni obowiązek skarbnika i zbiera dary, aby za nie później ogólną wyprawę pijatykę. W niektórych pobliskich okolicach przebierają się za Cyganów, Żydów i Murzynów, przez uczernienie twarzy i rąk sadzą; lecz jest to zapewne niesmaczny wymysł jakiegoś niby postępowca, nie znajdujący między ludem uznania i naśladowania ogólnego. Kobiety z powiązanymi chustkami w rękach, parobcy i gospodarze otaczają noszących *Bachusa*, a tak cała gromada przeciąga przez wieś, udając się najprzód do dworu. Kiedy przed drzwiami staną, wójt udziela łaskę po trzykroć, a gospodarz musi wyjść do przybyłych, bo inaczej wedrą się przemocą. Po przywitaniach wójt składa uzbieraną we wtorek daninę i przemawia w te niemal słowa: „Oto, panie ojcie gospodarzu, w twoim domu jest córka (lub syn), co nie bacząc sobie na obowiązek każdego człowieka przykazany Adamowi i Ewie od Boga, nie weszła jeszcze w małżeństwo. Kończą się dziś długie zapusty, i my więc przychodzimy z *Bachusem* i zabieramy ci twoją dziewczkę, aż się wykupi, kiedy nie chciała w małżeństwo iść. Ale i ty, ojcie gospodarzu, nie zapominaj o *Bachusie*, tylko go obdarz czym możesz, bo patrz jaki on biedny, obdarty, głodny.“ Dwór, przyjąwszy daninę, wystawia kilka garncy wódki lub piwa, a gromada z pożegnaniem odchodzi przez wieś, wstępując do każdej chaty, gdzie się coś podobnego powtarza, z tą różnicą, iż parobcy wyprowadzają dziewczęta niezamężne, i te co się nie okupią, malują sadzami, jako oblubienice *Bachusa*. W niektórych okolicach parobcy wykupują dziewczki za swoje pieniądze, a te, odwiedzając się, przyrządzają im na Wielkanoc serki, jaja, oraz inne podarki. Za zebrane pieniądze wyprawia się w karczmie gwarna ochota, a wszyscy tańczą około *Bachusa*. W popielcową także środę okupywać się muszą wszyscy jadący koło karczem, z tych bowiem wybiegają kobiety izagradzając drogę związanymi chustami, a parobcy, bijąc pyłami, wymuszają datek. Nie potrzebujemy dodawać, iż ręka ich dla niejednego bywa twardą; uchodzi im jednak ta swawola, bo to ostatni dzień zapust: środa popielcowa.

W.

WIDZIAŁO SZCZĘŚCIA,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA SPÓŁCZESNEGO.

przez

FELICYANA.

(Dokończenie).

XII.

Pan Ignacy sam.

Odtąd, ile razy próbował odwiedzić Kornelię—nigdy jej jakoś zastać nie mógł.

A było w tym domu arcy-głupie urządzenie, że oba wejścia na piętrze zamykały zaraz z bramy wielkie drzwi szklane, mające kłamkę tylko od wnętrza; ztąd, żeby kto miał interes niewiedzieć jak osobisty, musiał koniecznie przechodzić przez ręce odzwierne-go. Ten zaś odzwierny, było człowiek haniębnie dumny, bardzo pogardliwie traktujący ludzi i rozumiejący o sobie Bóg wie co. Pan Ignacy pijał z lepszymi od niego i słyszał nieraz jak ci lepsi nazywali go po prostu Bartłomiejem, co upoważniało do mniemania że mógł być kiedyś i Bartkiem; wiedział od nich różne niekorzystne o nim rzeczy, o zmańwaniu się ze stangretami i lokajami na szkodę państwa; wiedział, że był najserdeczniejszym pantoflem swojej żony pijającej herbatę; że mieszkał tylko w małej ciupie pod schodami;—zktąd mu tedy taka duma i takie lekceważenie świata Bożego?

Ile razy przyszedł pan Ignacy, zawsze odpowiadał mu z fantazją, nie czekając nawet zapytania:

— Jasnie wielmożnej hrabiny niema w domu—tylko co wyjechała—lub jeszcze nie wróciła,—i tym podobnie.

I mówiąc to, patrzył zwykle w ulicę, jakby był zajęty czym ważniejszym.

Był to człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu nieznosny,—pan Ignacy serdecznie go znienawidził.

U bonifratrów także, ile razy tam przyszedł, powiadano mu zawsze że z chorym widzieć się nie można, ale że mu na niczem nie zbywa, bo ta sama młoda pani w żalobie, która już kiedyś była, odwiedza go dwa razy na dzień, radzi o nim z lekarzem, dogląda go jaknajtroskliwiej i przysyła mu najrozmaitsze rzeczy do wygody.

Liczył na to, że się z nią tam może spotka, ale

nie umiano mu wskazać pory jej odwiedzin, gdyż bywała o różnych godzinach, a zawsze piechotą.

Znużony daremnym chodzeniem to tu, to do jej domu, pomyślał sobie pan Ignacy dnia pewnego, że go Kornelia wyraźnie widzieć już nie chce. Rozważył powody, i nie było innych, nad wrażenie słów które go Julian oskarżył w przystępie szaleństwa. Poczęła go przesładować słusność tego zarzutu—obłąkani bywają jasnowidzącami,—któż wie, czy nie Bóg, ważący czyny sądem swoim nie człowieczym, przemówił przez jego usta?...

Raz jeszcze sumiennie roztrząsał u siebie szczegółły pojedyńku do którego przyniewolił Artura, i uznać musiał, że wszystkie w nim korzyści zachował sobie, a jemu nie zostawił żadnej, że działał wbrew wszelkim popędom miłosierdzia, z zapalczywością sądzącego własną sprawę i mając prawie całą pewność skutku. I próżno nagromadzał wszystkie krzywdy których doznał od przeciwnika, próżno uważał się być powołanym do odwetu w sprawie nie umięjącego ująć się za sobą, próżno wmawiał w siebie że Artur w każdym razie byłby sobie życie odjął, że i Julian mógł poledz podobnie;—w duszy jego coraz głośniejszy odzywało się przekonanie, że był niezawodnie winien śmierci Artura, że zabójstwo to było rozmysłne, nieubłagane, nieznanne przeszkod. — Dlaczego je tedy zamierzył? dlaczego przywiódł do skutku? przecież nie dla samego pozbycia się Artura—ale żeby połączyć tych, których rozdzielało jego życie. Dobrze—a więc się pobiorą i będą szczęśliwi.

A teraz, jeśli Kornelia, domysławiając się prawdy, nie zechce pójść do ołtarza po trupie Artura?...

Pytanie to zapaliło piekło w jego duszy. Popęłił zbrodnię—i to może nadaremnie!...

— Ale Julian — cóż Julian winien temu co się stało?

I jak bywa, kiedy czujemy żeśmy winni, radzi jesteśmy choć w części ulżyć sobie, począł stary rozważać znowu że został odepchnięty, i szukać do tego innych powodów nad te, które dokuczały jego sumieniu.

— Kornelia nędzę jego okryła pogardą, a obłąkanie Juliana znieważa politowaniem. Ona go nigdy nie kochała prawdziwie. Ona może dziś przenieść nad niego marne względy światowe—ona może go nie chcieć, dlatego że nieszczęśliwy.

I widząc całą daremność swojej zbrodni, przypuszczać począł, że mogła się była przydać na co, gdyby się był nie zawiódł na kobiecie—bo według niego wszystko zepsuła Kornelia. I usprawiedliwiający środki chybionym skutkiem, doszedł do przekonania że stał się winnym, nie dla czego innego, jak tylko że mu się nie udało.

A im więcej myślał o swoim położeniu teraźniejszym, tém krzywiej począł tłumaczyć starania Kornelii i troskliwą pamięć jej o Julianie, biorąc je za chęć skwitowania się z długów zaciągniętych względem niego, za mało kosztującą jałmużną miłosierdzia rzuconą biednemu.

Więc wzgardził korzystać dłużej z tego poniżenia, i umyslił doczekać cierpliwie uspokojenia Juliana, żeby go odebrać.

— Nie trafi ona do niego więcej, rzekł w sobie z uporem człowieka upadłego na duchu; chyba aż ja uznam za stosowne,—dodał po namysle, jakby licząc jeszcze na jakiś zbieg wypadków, do którego mniemał znaleźć drogę.

XIII.

Pan Ignacy i Julian.

W parę tygodni potem Julian miał się tyle dobrze, że go pan Ignacy mógł odebrać z zakładu. Szaleństwo opuściło go już najzupełniej. Stał się po dawnejmu łagodnie obłąkanym, i tylko milcząca jakaś melancholia posiała się jakby makiem po jego zbiedzonym umyśle. Zdawało się że jakieś wycieńczenie chroniczne ogarnęło naraz wszystkie władze jego, nazbyt wyteżone przez czas jakiś. Niby zbyt pospiesznie wyżył to, co przeznaczone mu było na dłużej, i dlatego koniecznie potem ustać musiał, jak niedoświadczony wędrowiec, który zanadto żwawo ruszył z miejsca. Nie mówił ani słowa, i po całych dniach siedział tylko bez ruchu, lub leżał odwrócony ku ścianie, z wzrokiem utkwionym w jeden przedmiot, albo może nie patrząc na nic wcale. Posłuszny na wszystko w sposób najbierniejszy, wyglądał jak automat, któryby można poruszać siłą słowa. Patrząc na tę postać bezmyślną, oślepiającą, nie mającą innej woli nad cudzą, przychodziło na myśl, że dusza mieszkająca tam zcięplą nagle, podobnie jak członek zdrętwiały, którym ruszać możemy, a nie mamy uczucia tego ruchu, i dotknąwszy go, sądzimy że to cudzy. Dopóki myśl

obłąkanego kręci się w zaklętym kole urojen—rzec to nietylko bolesna. Jeśli są smutne—„coś on opłaca,” mówimy sobie; jeśli wesole—„coś wspomina lub przewiduje”; w obu razach coś mu się sni przynajmniej, i marzymy sobie, że się on zbudzi prędzej lub później. Ale dusza zdrętwiała, nie doznająca już wrażeń ziemskich, ani pamiętająca, ani widząca naprzód,—w jaki też sposób i po co jeszcze może się trzymać ciała?...

Są widać więzienia dla duszy, wytrwałe a milezące ciemnice zapomnienia, w których niewolno jej już cierpieć nawet, ani znać się na sobie,—dopóki nie wybędzie swego czasu...

Patrząc na ten posąg żyjący, który się nazywał jeszcze Julianem, pan Ignacy zgrzytał zębami i ogarniała go rozpacz ponura.

—Przekleństwo! mówił sobie w duszy; popełniłem zbrodnię, i słusznie nie uniknę potępienia—ale on?—coż on winien temu?... Tak dużo życia włożyłem w oczekiwanie szczęścia dla niego! pokazało się zdala—sięgnąłem po nie—i oto została mi krew na ręku, a widać pierzełło, pociągając za sobą resztki duszy Juliana. Bo i on uciekł odeszł. A niedawno temu jeszcze byliśmy jednym i tym samym. To jest nie było mnie—tylko on—jego marzenia, jego zawody, jego pociechy. On żył wspomnieniem tego co mu wydarto—ja myślą odzyskania mu udziału szczęścia. Nie miałem nie swojego—wszystko moje w nim było. Dziś, kiedy jego niema, gdzie się zwrócę? Czekam nie dla siebie—czas przyszedł nie dla mnie—i otom został sam jeden. Jakże dziwnym jest życie!...

Zastanowił się przez chwilę.

—Może też nie skleić tego, co sam Bóg rozłączył. Są może istnienia, które, choć się spotkają, nigdy jednak spoić się nie powinny—bo to jeszcze nie na tym świecie dopełnić im się wzajemnie? Więc jeśli hakieruje się przeciwie—nie zda się na nic przemoc choćby najszlachetniejsza,—nieszczęśliwy stanie przeciw sobie, i walczyć będzie z własnym dobrem, dopóki i sam nie polegnie, i nie pociągnie drugich za sobą.

Spojrzał na Juliana, i lzy politowania zaświeciły mu w oczach.

—Miałoby mu się nic już nie należeć w życiu? Niepodobna! Niepodobna! Trzeba dalej iść—niewiedzieć dokąd, byle dalej—ciągle dalej—choćby nie radząc się nawet jego chęci, bo on sam już nie wie co chce ma, a czego niechcieć. Ani się sprzeciwia, ani myśli cośkolwiek. Biędny Julian! Czyliż go zostawię sobie, dlatego że go odepchnięto? Czekając na szczęście dla niego, wydałem życia tak dużo—tak mało go już przedemną...

Wzdrygnął się.

—Co z nim będzie, jak mnie nie stanie?...

I zaczął roić rzeczy najszaleńsze: przymus, porwanie Kornelii,—i chodzić z tą myślą dniami i nocą, i podlewać ją półkwatrami.

XIV.

Pan Ignacy, ale nie sam.

Myśl wsadzona w grunt tak przygotowany, jak była głowa pana Ignacego, przez pół oszalałego od wyrzutów sumienia, przez pół z powodu stanu Juliana, pielęgnowana, obracana na wszystkie sposoby, obficie podlewana gorzałką,—musiała koniecznie wybuchnąć w postanowienie. Ważył je, układał, godził z okolicznościami, przerabiał tysiącokrotnie, psuł i poprawiał—ale nie porzucał ani na chwilę.

Ci co go znali wprzód towarzyskim, częstującym chętnie i niemal zabawnym przy kieliszku—dziś poznać go nie mogli. Nachmurzony, milczący, siedział sam jeden w ciemnym jakim kącie i tylko zapijał ognisć.

Któż wiedzieć może, jaki plan wyłagł się wreszcie w głowie człowieka, który, nieustannie pijany, nie radził się w tym nikogo trzeźwiejszego od siebie?...

Koniec końcem, w zamysłach tych zapomniał wreszcie o domu, i od dni kilku wcale już nie wracał do niego, błakając się od szynkowni do szynkowni i wszędzie pijąc bez pamięci. Postanowił tymczasowo (nie chcąc mieć więcej do czynienia z odźwiernym), sam dopilnować wyjazdu lub powrotu Kornelii,—zapewne żeby się z nią widzieć raz jeszcze, zanimby przywiódł do skutku wyważone w głowie swojej zamiaty. W tym celu obrał sobie w sieni jakiegoś domu przeciwnego kąta spokojny, z któregoby ciągle mógł mieć na oku bramę pałacyku.

Ale napróżno najcierpliwiej wypatrywał z tamtąd dzień cały—Kornelia ani wyszła, ani wyjechała, ani wróciła z żadnymkolwiek.

Przyciśniony głodem (czyli raczej pragnieniem), wstał do bedącego obok szyneczku, ślubując sobie że wróci natychmiast. Pokazało się że i z tamtąd widzieć

można doskonale. Zasiadł tedy w sposób stosowny i napił się tyle tylko, ile potrzeba było, żeby go wkrótce zmorzył sen nieprzeparty.

Obudził się, czując że go ktoś sadza na czemś twardym, w sposób niezbyt ostrożny. Były to schodki kamienne, na które go sprowadzono, z powodu spóźnionej pory. Chciał się zapytać o godzinę, ale mu drzwi zamknięto przed nosem, zanim jeszcze mówić zaczął. Na ulicy pusto już było i ciemno prawie we wszystkich oknach. Pan Ignacy począł przypominać sobie, w jakichto okolicznościach i dlaczego znajduje się w tym miejscu, a nie w innym? i zwyciężywszy tę trudność, umyślił skorzystać ze zdarzenia, żeby przez okna mieszkania Kornelii zbadać miejscowość, stosownie widać do swego planu. Był żelazny słupek przy bramie. Włazłszy na niego i uczepliwszy się gźmsu (byle się tylko nie oberwał), można było wdrapać się na balkon—a z tamtąd znów po gźmsach—eh! pójdzcie to jakoś.

Obejrzał się tu i owdzie—niema nikogo. Jeszcze raz przymierzył z ukosa i podniósł nogę, ale jakoś, wbrew swojej woli, zamiast się wspiąć na słupek, usiadł na bruku.

Kiedy się temu dziwił, spostrzegł że go ktoś obchodzi naokoło i bacznie mu się przygląda.

—Aa!—nie myślę się—a to—pan Ignacy! Sługa pański; odezwał się ten ktoś z niemalą radością.

Rozkraczył się, żeby pewniej stać na nogach, i kłaniał się, kiwając głową trochę za często. Pan Ignacy o mało nie pękł z gniewu.

—Dobry wieczór. Coż tam sły-słychać? Możeby pomódz wstać?

Próbował podać mu rękę, ale go tylko szturgął po głowie. Widząc że nie poradzi, oparł się o ścianę, widocznie z zamiarem prowadzenia rozmowy.

—Ładną mamy po-pogodę.

—Aha! bardzo ładną, rzekł pan Ignacy, zaciskając zęby.

—Siedliście tu um-umyślnie, czy przypadkiem?

—Umyślnie.

Powiedziawszy to, z niemalą zawziętością zebrał wszystkie siły żeby wstać, i jakoś mu się udało.

—Czek-czekacie tu na kogo?

—Czekam.

—A w którą stro-stronę pójdziecie potem?

—W przeciwną.

Nieznajomy znalazł, że pan Ignacy jest w wybornym humorze i uczuł że się bawić zaczyna.

—Ha! ha! Bodaj was panie Ig-gna-gnacy! Nie bywacie już pod karpiem?—pewnie gdzieindziej teraz. Może pod dzi-dzikim człowiekiem, na Smo-smoczęj ulicy, gdzie kos śpiewa—co? Ale i tam wódka do-dobra, ta, ta a-an-nyżówka—niech ją dyjabli! A ta szynkarka co dolewała wo-wody, już ją wy-wypędzili, wiecie?

Pan Ignacy splunął ze złością.

Daj mi tam wasan święty pokój, i idź sobie do diabła, zkaśdes przyszedł.

Nieznajomy osłupiał.

—Oo! zaś! / A—to dobranoc—no!

Nasadził czapkę na ucho i potoczył się w swoją stronę, mrużąc przez drogę:

—Patrzenie jak zdu-zdumniał! Jaki mi! Od czasu jak go wi-widzieli w karecie hra-hrabi-biny, myśli że Pana Boga za nogi trzyma...

XV.

Odźwierny.

Nocy tej samą (właśnie kiedy się śniło panu odźwiernemu że został szwajcarem w sali giełdowej, że miał stosowany kapelusz, zegarek srebrny, galonowaną szarfę i laskę z wielką gałką, że mu się kłaniali wszyscy, a on że się nie odklaniał nikomu) silne kołatanie w bramę przerwało mu pasmo tak miłych marzeń. Wstał i szedł otworzyć zły podwójnie: raz że go strącono z siódmego nieba, a powtóre, że zamiast dzwonić, kołatano jakby do karczmy.

—Powoli! powoli! Coż to tam tak pilnego znowu? gadał kwaśno, śpiesząc się w sposób kulawy.

—No, no, otwieraj trutniu! wołano zewnątrz.

Wnosząc po tonie który towarzyszył tym wyrazom, pomyślał sobie pan Bartłomiej, że go po tamtej stronie bramy czeka conajmniej złotówka. Pośpieszył tedy jak mógł najskwapliwiej; ale jakże się zdziwił, kiedy otworzywszy furtkę, ujrzał się z nagłą w obec nocnego patrolu i kilku obcych ludzi.

Ludzie ci, niosąc jakieś ciało pijane czy nieżywe, wpakowali się zaraz w bramę jeden przez drugiego, i rzucili swój ciężar na szlaban—ów szlaban jesienowy i politurowany, na którym siadał tylko sam odźwierny i niektórzy jego goście. Następnie urzędnik policyjny, wzięwszy go poufale za kołnier:

—Słuchajno, mój kochany, rzekł mu (no, to jeszcze nieźle—pomyślał sobie pan Bartłomiej,—on mnie kocha—dobry jakiś człowiek!) Słuchajno mój kochany—ten człowiek zabił się przed waszym domem; (dreszcz przeszedł kochanego) jutro zjedzie tu sąd—pilnuje trupa, bo jak mu włos z głowy spadnie, pójdziesz na jego miejsce—czy rozumiesz?

Nie było w tym nic niezrozumiałego. Trudno wprawdzie wiedzieć, czy adjunktowi z cyrkulu istotnie chodziło o włosy nieboszczyka; rzecz jednak pewna, że pod wrażeniem tej przemowy, pan Bartłomiej uczuł w sobie usposobienie zastąpienie braku ich choćby swymi własnymi.

Kiedy myślał nad tem, kłaniając się jak umiał najzgrabniej, nocni goście wyszli tymczasem, zatraskując drzwi przed jego nosem i nie powiedziawszy mu nawet dobranoc.

A istotnie potrzebował on choćby dobrego życzenia, bo czekała go noc, jakiej nie pamiętał od czasu przyścia na świat. Żona jego, osoba delikatnie wychowana (była niegdyś panną służącą), pijająca herbatę, cierpiąca na zęby i wstająca o ósmiej, miała to do siebie, że się niesłychanie bała umarłych. Oświadczyła zatem z góry, że ani myśli oka zmrużyć przez noc całą. Mąż jej zaś miał to do siebie, że się mocno obawiał jej żywości. Choćby tedy, jako dawny grenadyr pułku liniowego, (a wiadomo że grenadyry są sektą ludzi niedbającą o duchy), byłby chętnie spał i za siebie i za nią, nie mógł tego jednak uczynić, z powodu pojęć jakie miała ta kobieta o obowiązkach męża w podobnych okolicznościach. Według nich, należało czuwać z nią razem, a nawet czuwać nad nią, gdyby przypadkiem zasnęła. Napróżno tedy przez noc całą usiłował nieszczęśliwy wybić jej z głowy mylne przekonanie o istnieniu upiorów i ich upodobaniu do wycieczek nocnych,—przekonanie ma to do siebie, że się nigdy inaczej przekonać nie da.

XVI.

Wszyscy, prócz pana Ignacego i Juliana.

Przed bramą pałacyku naprzeciw karmelitów, ogromna moc ludzi. Wszyscy się popychają, wszyscy sobie następują na nogi, jedni drugich strofują o ciekawość, a każdy chciałby być pierwszym, każdy radby objaśnić drugich, a wszyscy nie nie wiedzą, bo miała tylko liczba wybranych (a i ci bardzo rano wstać musieli), zdołała wprassować się aż w bramę. Jacy oni szczęśliwi! Iluż to im zazdrości!

—A to podobno służący zabił pana—okropne zdarzenie!—uderzył go, słyszę, w głowę prawidłem.

—Musiało to być prawidło grammatyczne, rzekł mimochodem jakiś student, wracający ze szkoły.

Jakaś mała, sucha, zezowata babina, spojrzała z politowaniem na nowiniarza:

—Et, jakto można gadać, kiedy się nie wie! Paliło się oto w tym domu, i jeszcze niezupełnie ugasili. Sąsiadka Pafnućowa widziała wyraźnie ogień w tej stronie, jak wracała z wesela od Flakiewicza. Jeszcze pomyślała sobie: rany Boskie! możeby dać znać do straży.

—Ta, ta, ta,—przerwał jej z pogardą jakiś słusarczyk z powalonym nosem, przecież tylko co spotkałem się ze starym Kozyrą, który się dopchał aż do bramy. Złodziej w nocy zakradał się na pierwsze piętro, ale go złapali. On tam leży okuty we cztery łańcuchy. Znaleźli przy nim dubeltówkę, szablę, pałkę, nóż ogromny i butelkę trucizny—a chłop niezmierny, powiadają, aż po pierwsze piętro.

—Będą go pewnie ćwiertować w rynku. Najśłodsze Imię Jezus.

—Pójdziemy patrzeć. Widziałas ty kiedy jak to ćwiertują?

—Nie, nigdy. Ale powiadała mi Jagusia, że jej babce mówili o kimś, co widział takiego, który był przy tem.

—Ale o! patrzcie!—a prawda, dalibóg—ten gźms na pierwszym piętrze tuż przy balkonie—o! oberwał! to on się tam widać dobywał—niechże go!

—E, co znowu! chybaście ślepi tatulu. To w tym domu odbywa się delegacya—przecie widziacie komissarza.

W bramie tymczasem, na gołym tapczanie, leża, ni mniej ni więcej, tylko śmiertelne zwłoki pana Ignacego. Ciało wystawiono na widok publiczny, ponieważ nikt z domowych nie był w stanie objaśnić kto jest nieboszczyk. Może kto z przechodzących pozna zwłoki—przecież zmarły musiał mieć znajomych. Miałci on ich, i niemają, zwłaszcza kiedy czuli kilka groszy w jego kieszeni, a na stole miarkę gorzałki przez niego zafundowaną. Dziś nikt się do niego przyznać nie chce—bo już niema po co. Są tacy

których korci pokazać się publicznie, że wiedzą więcej od drugich,—ale ci znowu boją się żeby ich nie brano na świadki, bo to pachnie zaraz protokołem, kryminałem, przysięgą, prochownią—Bóg wie nie czém—co tam komu po tem wszystkiem?

Urządnik sądowy i doktor chodzą po bramie szerokimi krokami, a każdy w inną stronę, gdyż się nudzą zapamiętane. Doktor pali cygaro i spluwa. Urządnik trzyma pod pachą ogromne zastraszające grubości akta, które mają żółtą kartkę z numerem, powiewającą naksztalt flagi. Wiele jeszcze innych papierów wygląda mu z różnych kieszeni.

— Straszna rzecz, co ten człowiek zapisze papieru! myśli sobie odzwierny stojący w kacie. (Niepodobna być więcej wyprostowanym od niego, gdyż ma sobie zapowiedziane od żony, żeby się nie dał poniewierać niesłusznie).

— Więc powiadasz, mówił urządnik sądowy, trzymając w palcach szczyptę tabaki, której niecierpliwie zdawał się wyglądać nos jego patrzący ku brodzie; więc powiadasz, kochanku, że on bynajmniej nie w celu kradzieży dobywał się do okna.

— Ja?—ja nie powiadam, odparł czempredziej odzwierny, któremu się zdawało że go zaraz zapiszą na świadka; ja tego nie mówię wcale—czyż ja to powiedziałem?—owszem—coż ja mogę wiedzieć! Tylko—tylko—w głowie mi się pomieścić nie chce, żeby on był złodziejem. Juści złodziej włazi tylko tam gdzie co ukrasć może, a nie do pustek; bo już z tydzień będzie jak jasnie wielmożna hrabina wyprowadziła się z tego mieszkania, i odtąd nikt jeszcze po niej nie najął. Zresztą—jakie tam on już miał i przychyny—to nie wolałże przecie wygodnie sobie z balkonku wejść do pokoiów, ale było mu konieczne drapać się do tego bocznego okna—chyba umyślnie po to, żeby kark skrócić.

— A może tam co i było w tym pokoju?

— Gdzie tam, wielmożny pisarzu!—pustka jak i wszędzie. To był gabinet jasnie wielmożnej hrabiny.

— Rzecz widoczna, mówił sobie doktor, nie zważając na to co mówiono, że on bynajmniej nie miał zamiaru odebrania sobie życia; widać to jasno po składzie jego czaszki, na której niema guzów samobójstwa. Że śmierć nie była spowodowana gwałtem ani przymusem, pokazuje to najzupełniejszy brak śladów jakiegokolwiek przemocy. Domyślać się tylko można, rozprawiał dalej prostując się i puszczając dym na cygaro, które trzymał prostopadłe przy ustach—domyślać się tylko można—że—panie dobrodzieju, wnosząc z niezdrowej twarzy, musiał być nałogowym, w skutek czego być może—być może mówię—że to zrobił po pijanemu, czyli inaczej mówiąc w stanie...

— No, oto wy pytamy go się już na dolinie Jozafata, jeśli nam co na tem zależało wtedy—przerwał urządnik, śmiejąc się sobie do tabakierki, a teraz najpierwsza rzecz, co on za jeden? Jakże, czy nikt nie zna tego człowieka, dodał zwracając się do zgromadzonych.

— Nikt! odpowiedzieli chórem wszyscy ci co go znali.

— No, to pójdziemy do domu, rzekł doktor, macając się po żołądku.

— Wcale, bynajmniej. Zrobimy obdukcję, jak wypada z porządku rzeczy, zapiszemy w protokół: że znaleziono ciało mężczyzny płci... czyli raczej człowieka płci męskiej, z imienia i nazwiska niewiadomego.

Doktor skrzywił się kwaśno, obrócił się ku nieboszczykowi i rzekł spoglądając na zegarek:

— To piszmy raz już przecie ten utrapiony protokół. Proszę tylko żeby prędko, bo mam wizytę bardzo pilną.

Urządnik rozsiadł się na szlabanie, powyciągał rozmaite papiery, włożył na nos okulary i zażył tabaki.

— Imię, nazwisko, stan i zamieszkanie? zapytał z przyzwyczajenia; a! prawda! nie-wia-do-me, mruzczał pod nosem pisząc.

Doktor oglądał trupa.

— Właściwie sama głowa tylko uległa obrażeniu. Widocznie spadł głową na jakiś przedmiot ostry, co spowodowało śmierć, zanim jeszcze ciało doleciało do ziemi.

— Aha! wtrącił odzwierny, on widać spadł na okno, które było otwarte na dole. Wczoraj myli tam podłogę, bo jakiś pan z Nowego Świata ma się tam wprowadzić.

— Żelazo jakieś ostre, mówił lekarz z najzimniejszą krwią w świecie, zapewne zasuwka od okna, wbiło mu się w głowę przez oko, z kąd bezpośrednio dotknęło mózgu. Śmierć na miejscu.

Naraz gwar jakiś między widzami. Kobieta, ubrana po wieśniaczemu, przepycha się z trudnością, i naraz wypada na środek, podobna do wyciśniętej cytryny.

— Dopraszam się ja łaski przenajświętszego (chciała powiedzieć prześwietnego) sądu, rzecze całując w łokieć odzwiernego, zapewne z powodu jego świetnego ubrania. A rany Boskie!—a toż to ten som człowiek, co to mieszkał nad nami na strychu!

— To ty go znasz? spytał urządnik.

— A juści. O! i jak! Ja z moim chodzim na wyrobek—bięda—Panie Boże święty zmiłuj się! Ale ten i syn jego, to musi jeszcze większe biędaki od nas, że aż pod dachem to siedziało. Ale ja to mówię wedle tego—bo dziś z nocy budzę ja się—stuka coś na górze i jęczy okrutnie. Strach mię zdjon wielgi. Czy źle? czy co? Zmówiłam pacierz i zasnęłam. Zrania powiadam ja mojemu. On na górę. Stuk—stuk—zamknięte. Woła—cichusko, jakby nikogoj nie było. Dałiśwa znać do gospodarza. Wyważyli drzwi—o rany Boskie!—a to ten młody leżał na ziemi już przez ducha. Musi umarł z głodu, bo strasnie poszarpał wszystko na sobie, pokasał ręce, a w głębie miał szmaty płótna pomalowane. Ino w rękę trzymał obrazek, widno Matki Najświętszej, czy jakiejś świętej (bo bez Pana Jezusa), który do głębi przyciskał—musi pocałował, i tak umarł—przez księdza, przez spowiedzi świętą. Więc ja tu przechodząc pytam się: co tak ludzie stoją?—Sąd—powiedajom. Tak ja dalej tedy tu przyszedłam, właśnie żeby to powiedzieć. Możeby jakiś ratunek, albo co tam panowie uradzom i spisom.

— To jeszcze i tam wypadnie iść na obdukcję, rzekł doktor z miną człowieka, któremu się życie przykrzyć zaczyna.

Urządnik ruszył tylko ramionami, i dobywszy chustki, utarł w nią nos tak rozgłośnie, że wyglądało jakby zabrzmiął głos trąby wyzywającej na nową potyczkę.

— Proszę ja panów moich, odezwała się z okienka budki głosem słodziutkim małżonka odzwiernego. Czy to jeszcze i tamtego mają tu przynieść? Niech panowie będą łaskawi zmiłują się i nie robią tego—bo ja się już i tak boję, że aż strach...

XVII.

Kornelia sama.

A Kornelia?

Kornelia jedna przeżyła wszystkich—przeżyć można tak dużo! Ani umarła, ani wstąpiła nawet do żadnego klasztoru, bo jest zdania: że życie warte tego, żeby z niem walczyć, albo być w zgodzie; że ten kto od niego ucieka, tchórz jest; kto je sobie łatwem czyni, nie uniknie trudności za grobem; że kogo Bóg nie powołał do siebie, powołany jest do świata i wszelkich prób pobytu na nim, aż do czasu... Poświęciła się pielęgnowaniu obłąkanych, przez pamięć, jak mówią, dla swego męża, który w przystępie obłąkania, miał nieszczęście odjąć sobie życie.

Jest na Powązkach, w miejscu przeznaczonem dla biednych, skromna mogiła z prostym krzyżem, którą ona odwiedza niekiedy. Rosną tam piołuny—widocznie kilka łez gorzkich padło na tę skibę pola śmierci...

Jest to wspólna mogiła, Juliana i jego ojca.

Rosłyby może piołuny i na grobie Artura, ale nie rosną—może dlatego, że jest pochowany w katakumbach...

XVIII.

Widziadło szczęścia.

Upłynęło czasu niemało...

Mogiła Juliana zapadła, podpruchniał krzyż na niej i pochylił się, pomimo że brzoza dumająca opiekuniami osłania go gałązkami. Któż wie z kąd się wzięła ta drzewina? Zapewne Pan Bóg posłał ją, przysławszy na wiatrach skrzydlate ziarno, podjęte w gaju nad strumieniem. Nocną porą, kiedy ze zwieszonych jej warkoczy spływają łzy, w których się księżyc mieni srebrzysto, śpiewa tam słowik, a wiatr zasłuchany nie śmie westchnąć pełną pierśią. Wtedy też z ponad piołunów wykwitają ogniki błędne, i płoną zwodniczymi blaski, rozpierzchając się za łada zbliżeniem, na podobieństwo widziadła szczęścia na ziemi...

Bo ziemia—to tylko jedno wielkie grobowisko, zarosłe gorzkim chwastem, wśród którego, w uprawianiu ducha, ściga człowiek to, co niema innego

istnienia, nad blask zapożyczony w zaświatowej krainie.

I dziwnoż tedy, że się wymyka to, co jest tylko uludą?...
K O N I E C.



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincji lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcji materiału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarygodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcji.

Panu Al. M., autorowi wiersza p. n. *Termopile*. Obrabiał pan przedmiot bardzo trudny, zwłaszcza po ślicznym tegoż tytułu utworze Felicyana, drukowanym lat temu parę w *Dodatku do Czasu*. Takie rzeczy, oprócz talentu, (którego zaprzeczycie ci nie można), wymagają głębokich studiów przygotawczych i dokładnej znajomości dziejów starożytnych, aby utrafić ton właściwy. U pana Leonidas i Xerxes przemawiają jak ludzie teraźniejsi i do tego dosyć pospolici.

Panu Wł. D. w *Krzywonosi*. Uprzejmie udzielony nam dokument, ogłoszony już był kiedyś w *Gazecie Warszawskiej*; nie przeszkadzało by to wszakże jego przypomnieniu, gdyby rzecz była na czasie.

Pani N., autorce korespondencji z powiatu wilkomińskiego. Insynuacji krzywdzących dla pewnej części opisywanego społeczeństwa, na wiary osoby bezimiennych drukować nie możemy, zwłaszcza że już ostatnia tegoż pióra korespondencya (z powiatu poniewieskiego), wywołała niejakie protestacje.

Panu E. K. w *Poznanu*. Zyciorys i dwa opisy miejscowości odebraliśmy; wkrótce zrobimy z nich użytek. Na inne propozycje pańskie chętnie przystajemy, prosząc tylko o treściwość. Rysunki na ten raz każemy jeszcze przygotować w Warszawie. Radziłbyśmy jednak abyś nam pan kiedy przysłał na próbę drzewko z robotą jednego z waszych miejscowych artystów. Jeżeli uznamy ją za odpowiednią, to może niejako w przyszłości zrobimy zamówienie. Żądane numera wyprawiliśmy i zapewne już pana doszły.

Panu Z. J. G. Rysunek i opis pomnika Stefana Czarnieckiego znamy doskonale, zwłaszcza że ostatni czerpany jest dosłownie z własnej naszej pracy, drukowanej niegdyś w *Księdze Świata*. Skoro tylko przygotujemy drzeworyty kilku innych jeszcze pamiątek po wielkim wodzu, nie zapomnimy i o pomniku. Tymczasem dziękujemy za życzliwość i prosimy o przesłanie rzeczy obiecanych.

Panu J. B. w *Grodnie*. Z zadania szachowego chętnie zrobimy użytek, gdy nam nadeszlesz rozwiązanie, nie mamy bowiem czasu molić się sami nad jego odgadnięciem. Uwagi pańskie są słuszne; trudno jednak niekiedy zapobiedz podobnym niedokładnościom.

Panu Zdzisławowi w *Warszawie*. „Dumania flisaka o dziecinie nad Pilicą, która: Choć na wszystko co na świecie jest czarującym w kobiecie, nie spostrzegła się jednak: że do serca, chociaż Polka, Wkradła jęś się cierni kolka, — jakkolwiek rzeczywiście jest rozczulające, wydrukować nie możemy, z obawy zbyt silnego wstrząśnienia nerwów tkliwych czytelników naszych.

Panu Z. X. H. P. w *Warszawie*. Dwadzieścia numerów wierszy otrzymaliśmy. Nie przeczytaliśmy ich wszystkich; bo czytać sto osmdziesiąt stronnic wierszy, dosyć gęsto pisanych, to morze do wypicia, to praca Herkulesa, na którą redaktorowi zdobyć się trudno. Ze jednak wyrażasz pan życzenie debiutowania na scenie poetyckiej utworem p. n. „Ustęp z życia wieszców,“ z czego wnosimy iż uważasz go sam za najlepszy z owych dwudziestu, powiemy więc choć o nim w krótkości swoje zdanie. Jest to plód rozgorączkowanej wyobraźni, pedagóg niewiedzie dokąd i za czem, w którym, przy wyrażeniu naśladowanie poetów wielkiej naszej plejady, obok miejsc słabych, są ustepy wypowiedziane dosyć silnie. Po przeczytaniu wszakże takiego wiersza mimowoli nasuwa się pytanie: czego chciał autor? co znaczy ten potok brzmiających wyrazów, przy braku myśli przewodniczącej? W każdym razie praca dziesięcioletnia, na polu tak niewdzięcznem, dowodzi wytrwałości, którą radziłyśmy widzieć skierowaną na rzeczy pożyteczniejsze.

Pani K. w L. Otrzymałyśmy artykuł z przyjemnością wydrukujemy. Takich własnie korespondencji z różnych stron dawnej Polski, co nie goniąc za nowinkami dziennymi, kręślą, choć w ogólnych zarysach, obraz stanu społecznego, zwyczajów i obyczajów danej miejscowości, — najbardziej nam potrzeba. Dziękujemy serdecznie i polecamy się dalszej pamięci.

Litwinki w *Petersburgu*, które nadesłały nam prenumeratę na 10 egzempl. dzieła p. n. *Jadwiga i Jagiello*, upraszamy o adres; odebrawszy bowiem w tych dniach tom IV rzeczonego dzieła, zamierzamy zająć się jego rozესaniem.

Szanownego ks**, autora artykułu p. n. *Dom Długosza w Sandomierzu*, prosimy o powtórne onego przesłanie.